Przes. poczt. opłac. rycz.

ŁOWIEC POLSKI



Rojst na Wileńszczyźnie. Fot. W. Koneczna.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 13—14 (618). 31 MARCA 1931 R

Czesław Sznajdrowicz

Warszawa, Sienkiewicza 12. Telefon Nr. 502-14.

FUTRA

Najświeższe nowości wiosenne.

CENY KONKURENCYJNE.

Wyprzedaż sreber, kryształów, platerów

Warszawa, ul. Wierzbowa Nr. 3.

G. RADKE

WARSZAWSKA SPÓŁKA FOTOGRAFICZNA

Warszawa, Marszałkowska 152. Telefon 258-57.

Skład aparatów i przyborów fotograficznych w wielkim wyborze.

Nowoczesna pracownia robót amatorskich i powiększeń artystycznych.



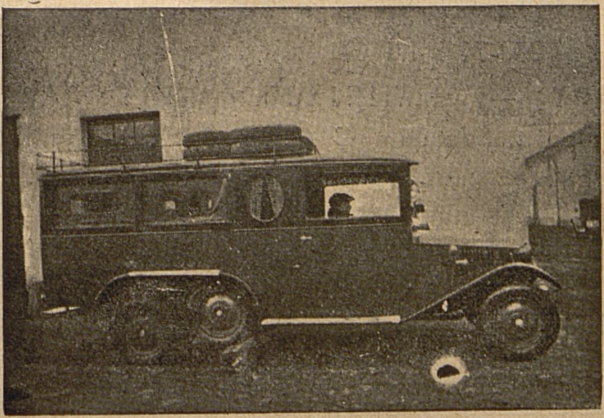
Nagrodzona Licznemi Najwyższemi Złotemi odznaczeniami i na Powszechnej Wystawie Krajowej, oraz medal złoty Wilno, 1889 r.

PRACOWNIA

J. BORUTTA

Wypychanie ptaków i zwierząt, oprawa rogów, wyrób dywanów, wyprawa skór z włosem, oraz bez włosów.

WARSZAWA, Chmielna 35 m. 19, telefon 657-52.

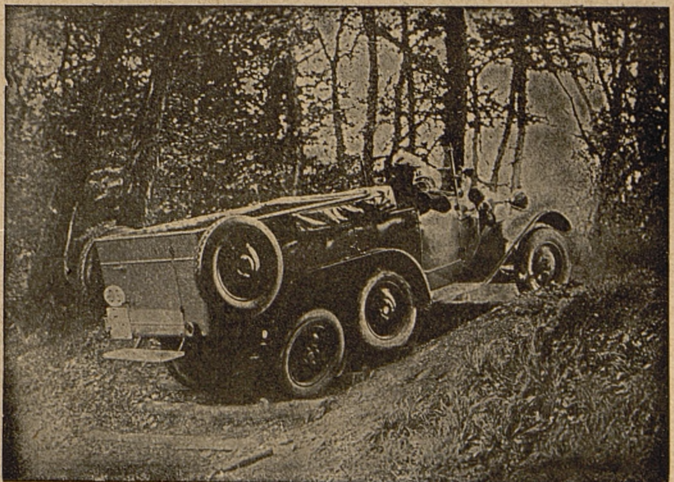


Myśliwski wóz kryty p. Hrab. Mauryc. Potockiego

Samochody myśliwskie

posiadają ruchome osie, praca których zastępuje czołgi na każdym terenie i są także używane jako wojskowe samochody terenowe.

TATRA



Myśliwski wóz otwarty.

Warszawa, Salon wystawowy Aleja Jerozolimska Nr. 14.

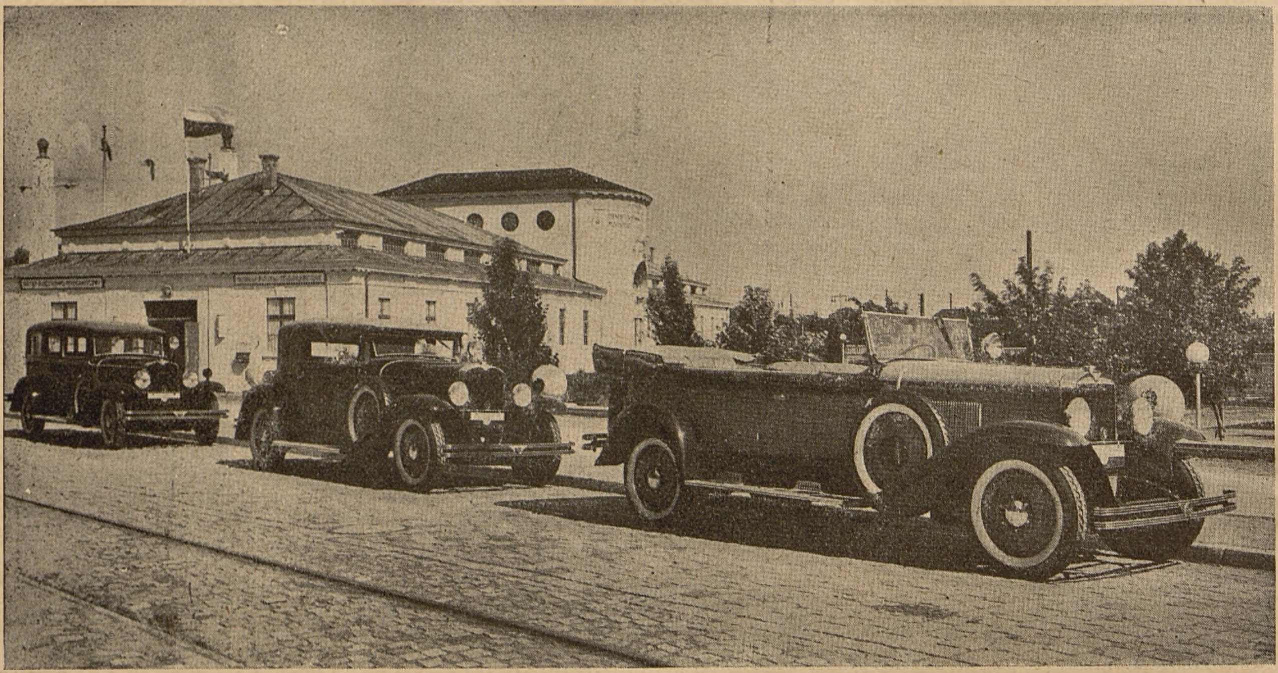
Dyrekcja i warsztaty: Czerniakowska Nr. 207

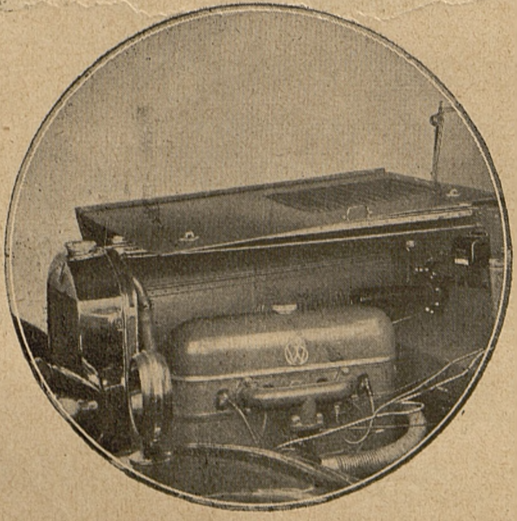
Wdzięczność pogromcy.

— Panie pogromco! Dlaczego się pan pieści specjalnie z tym starym lwem?
— Z wdzięczności, drogi panie. On to bowiem trzy lata temu rozszarpał moją nieboszczkę żonę!...

Sokoły.

— Czem się różni zwykły sokół od naszego? Pospolity sokół pilnuje gniazda własnego i samicy, nasz zaś opuszcza gniazdo rodzinne dla ćwiczeń gimnastycznych na mieście.







Budan. Fot. M. Hofman.

NIEZWYKŁE TOKOWISKO.

W pierwszych dniach kwietnia ubiegłego roku zdarzyło mi się polować na tak dziwnem tokowisku głuszcowem, że chcę o niem kilka słów powiedzieć. Wybraliśmy się na tydzień z żoną moją, równie gorącą jak i ja, czcicielką św. Huberta, w okolice Nalibockiej puszczy dla zaznajomienia się ze świeżo wziętymi przez nas w dzierżawę terenami łowieckimi w państwowych lasach. Drogę mieliśmy bardzo urozmaiconą: najpierw końmi po rozmokłych przy pierwszych, wiosennych dniach drogach, później parę stacyj kurjerem wiozącym międzynarodową publiczność do Rosji, wreszcie po noclegu w Stołpcach najętą, żydowską furmaneczką po beznadziejnych piachach, równie suchych i pylących o tej wczesnej porze roku, jak i wśród skwarnego lata. Dziwnym i śmiesznym wydał się nam kontrast pomiędzy niedawno opuszczonym przedziałem pullmanowskiego wagonu, gdzie francuz głowił się nad rosyjskim słownikiem, a jadący na Syberję berlińczyk z lekką wzgardą rozpytywał o bogactwa mijanego kraju,—a tym przedziwnym instrumentem, którym stołpecki żydowin podjął się dostarczyć nas do leśniczówki stanowiącej bazę operacyjną dla naszych działań myśliwskich.

Gdyby nie sina wstęga wezbranego Niemna, majacząca tu i owdzie poprzez sosnowe, zdobne w sasanki bory, gdyby nie cudowny, kwietniowy poranek kojący wszystkie troski i żale, droga ta wydałaby się nam długiem pasmem katuszy. Szkapa-męczennica, której zadaniem było zapewne zwożenie przez całą zimę kłód i belek z lasu do Niemna, wlokła się z przesadną flegmą, usiłując od czasu do czasu pod wpływem pieszczotliwej zachęty woźnicy, przejść w histeryczny lecz krótkotrwały galop. Siedzenie sporządzone z walizek i odłamków desek, po pierwszym kilometrze zamieniło się w jakieś rumowisko, boleśnie kaleczące nasze ciała przy każdym dołku i korzeniu, a czajki kwilące nad mijanymi moczarami, błyskając w słońcu białem podbiciem skrzydeł, zdawały się natrząsać z naszej niedoli.

Wszystko jednak ma swój kres. Po pięciu godzinach takiej jazdy dotarliśmy wreszcie do malowniczo położonej nad kanałem leśnym, toczącym do Niemna wezbrane, wiosenne wody, leśniczówki, gdzie gościnna gospodyni, w nieobecności męża, ulokowała nas w wygodnym pokoju i przywołała jednego z miejscowych gajowych, który jako najlepszy ponoć myśliwy z okolicy, podjął się piastować urząd stróża łowieckiego naszych terenów.

Chciałem tegoż jeszcze wieczoru, korzystając z cudownej pogody, pójść na podsłuchy głuszcowe, Kazio jednak (tak zwano naszego sympatycznego, chociaż dość już zaawansowanego w latach, łowczego) odradził, twierdząc, że miejsce tokowiska głuszcowego jest mu dobrze znane i pewne, a dojście do niego tak uciążliwe i dalekie, że nie opłaci się dwa razy w ciągu jednej nocy podróż tę tam i z powrotem odbywać, nocleg zaś

w pobliżu tokowiska jest wykluczony z powodu braku jakiejkolwiek suchej wysepki, gdzieby można było rozpalić ognisko i przy niem doczekać się świtu.

Nie znając terenu, musiałem się zgodzić z niemiłą koniecznością opuszczenia podsłuchów, bez których wiosenne polowanie na głuszce traci dla mnie połowę swego uroku. Poszliśmy wcześnie spać, by wypocząć należycie po męczącej podróży i przed ciężką, ranną przeprawą, o północy budzik leśniczego zaczął nam wygrywać melodyjne kuranty.

Do gajówki Kazia mieliśmy od leśniczówki około czterech kilometrów, zajęły nam one jednak przeszło godzinę marszu, gdyż szeroka grobla prowadząca przez podmokłe lasy, była w wielu miejscach poprzerywana i trzeba było przeprawiać się po chwiejnych i śliskich kładkach. Było około wpół do drugiej, gdy stanęliśmy przy gajówce. Gajowy czekał już na nas w pełnym rynsztunku i zrzędził, że jest późno, a droga daleka i ciężka, z niedowierzaniem przytem oglądał wysokie buty mojej żony, jakby się obawiał, że właścicielka ich nie udźwignie lub że cholewki okażą się zbyt krótkiemi na głębokich moczarach.

Szliśmy gęsiego. Kazio oczywiście prowadził, żwawo śmigając długimi badylami, ja zamykałem pochód, świecąc przy trudniejszych przeprawach elektryczną latarką. Wąską ścieżką wijącą się wśród przeplatanych mokremi łączkami, świerkowych i brzozowych lasów, szło się jako tako, lecz gdy wyszliśmy na rozległe i zupełnie otwarte trzęsawiska, które trzeba było przebyć — poszło gorzej. Całe szczęście, że niezupełnie jeszcze rozmarzła, zimowa droga, tak zwany w miejscowem narzeczu „zimnik", pozwalała stopom chociaż chwilami oprzeć się o twardy grunt, gdzieniegdzie za to ta cienka warstwa lodu, ocalała przed ciepłymi promieniami słońca, dzięki izolującej warstwie mchu i siana sprasowanego płozami, załamywała się niespodzianie i wtedy ledwo starczyło cholew u długich butów.

A długonogi nasz przewodnik wciąż ostro parł naprzód, z niepokojem spoglądając na wschód i tajemniczymi znakami ręki wabiąc nas za sobą. Gdy po bokach „zimnika" coraz częściej zaczęły wyrastać krzaki, łozy i pojedyncze brzózki, milczący dotychczas Kazio szepnął, że do tokowiska już niedaleko i że należy zaprzestać oświetlania drogi, szedł jednak równie szybko i hałaśliwie naprzód. Opuściliśmy „zimnik" i szliśmy teraz wzdłuż szerokiego kanału, po wysokiej i względnie suchej jego burcie, obficie za to zarosłej boleśnie smagającą po twarzy łozą. Napróżno rozglądałem się, szukając wzrokiem mszaru i sosen; nic, prócz łozy i rzadkiej, drobnej brzeziny nie było widać dookoła, z czego wnosiłem, że wbrew zapewnieniom Kazia, do tokowiska musi być jeszcze daleko; wskazywał zresztą na to jego szybki i hałaśliwy marsz. Wreszcie majestatycznym ruchem ręki zatrzymał on nasz pochód i szeptem objaśnił, że trzeba stanąć i czekać, aż posłyszymy pieśń.

Osłupiałem i zacząłem nawpół przytomnie rozglądać się po otoczeniu, już słabo oświetlonem pierwszymi, nieśmiałymi odblaskami świtu. Staliśmy wśród drobnej i rzadkiej, podszytej łozą i trzciną, brzeziny, doskonałej może jako zimowe żerowisko dla cietrzewi, lecz zupełnie niepodobnej do żadnego z licznych tokowisk głuszcowych, które dotychczas widywałem. Zacząłem podejrzewać, że nasz Kazio jest pospolitym i bezczelnym oszustem liczącym na zupełny brak doświadczenia swoich ofiar. Nie czas był jednak na rozmowy i tłomaczenia, więc tłumiąc wzbierającą wściekłość, spoglądałem na spokojne, kamienne rysy naszego towarzysza, odkładając chwilę porachunku na później. Tymczasem pogodny wschód rozjaśniał się coraz bardziej i wszystkie uczciwe głuszce już napewno rozpoczęły swoje pieśni. Po plecach moich spoconych w maratońskim biegu przez bagna, zaczęły przebiegać dreszczyki chłodu.

„Powinny już śpiewać", zaopinjował flegmatycznie Kazio: „pocichutku posuniem się dalej". Ledwie jednak wprowadziliśmy w czyn to „posuwanie się", z niedalekiej, większej nieco od innych, brzozy, z okrutnym łopotem zerwał się autentyczny głuszec, a wnet po nim nieco dalej drugi. Zbaraniałem po raz wtóry. „Więc to jednak tokowisko", skonstruowałem w duchu: „tylko, że ten dureń wprowadził nas w sam jego środek, z łomotem spłoszonego stada dzików i wszystko oczywiście popsuł; ranek dzisiejszy dla nas skończony". Żal mi się zrobiło żony, która, nie znając jeszcze uroku pieśni głuszcowej, tyle trudów zniosła napróżno i teraz, pobladła ze znużenia i wzruszenia, stała oparta o brzózkę, zaczynając rozumieć co się święci. Zimno coraz dotkliwiej dawało się we znaki.

Łyknęliśmy z manierki dla rozgrzewki i pokrzepienia serc; odmówił tylko, szczerze widać zmartwiony, Kazio, na którego zacząłem, pomimo wszystko, patrzeć z większą dozą wyrozumiałości, widząc w nim już tylko niedoświadczonego myśliwego, a nie oszukańca.

Później snuliśmy się jeszcze jak senne mary, do białego dnia wśród nagich, smutnych szkieletów brzóz, bez wielkiej nadziei posłyszenia głuszca, — i rzeczywiście, żaden nie zaśpiewał, a spłoszyliśmy jeszcze kilka milczących kogutów.

Speszony gajowy sumitował się, że troszkę „musić nie potrafił" i za daleko zapuścił się w głąb tokowiska,



zapewniał jednak stanowczo, że głuszce zawsze tutaj tokują na brzozach, choć opodal, o jakie ćwierć kilometra, rozpościera się obszerny, sosnowy mszar.

Chmurni i zmęczeni zabieraliśmy się do powrotu, gdy nagle zaszumiały nam nad głowami potężne skrzydła i spóźniony kogut usiadł o jakie sto metrów od nas na nikłej brzózce, wyginając jej wierzchołek swoim ciężarem, i bez chwili namysłu zaśpiewał. Pieśń szła po pieśni prawie bez zająknienia, a że śpiewak siedział tyłem do nas zwrócony i zlekka zasłonięty miotłą innej, bliższej brzózki, więc mieliśmy pewne widoki powodzenia, pomimo jasnego już dnia i przeraźliwie otwartej miejscowości.

Dla uniknięcia pokusy oddałem swoją broń Kaziowi, który pozostał na miejscu, zamieniony w słup soli, a sam podążyłem ku głuszcowi, znakami zapraszając żonę za sobą. Już nie skokami, lecz robiąc po dwa, trzy ostrożne kroki w czasie każdej pieśni, zbliżyliśmy się na znośny, choć jeszcze daleki strzał, gdy raptem głuszec uciął, złożył skrzydła i ogon, i podniósłszy głowę, zwrócił się do nas profilem. Nie było czasu do stracenia, więc usunąwszy się nieco na bok, szepnąłem po za siebie zdławionym głosem: „Strzelaj" — i przymknąłem oczy, nie chcąc widzieć odlatującego koguta, pewien bowiem byłem albo pudła z zapewne drżących od emocji, rąk mojej żony, albo spóźnionego i trudnego już strzału w lot; wiedziałem z doświadczenia, co to jest pierwszy strzał do głuszca na toku.

Jednakże kogut dosiedział i w chwilę później łomotał już na ziemi słabnącemi skrzydłami swój przedśmiertny werbel.

Radość była ogromna, śmialiśmy się ze szczęścia i krzyczeli wszyscy troje jednocześnie, Kazio wykrzykiwał jakieś grzmiące pochwały i wiwaty...

Jakże lekko mknie się po takiem szczęśliwem zakończeniu polowania poprzez najbardziej zdradliwe topiele; jak krótkie wydają się powrotne kilometry i w jaki sen rozkoszy pogrąża się później człowiek pomimo wysoko na niebie stojącego słońca!

Niezmiernie mnie zaciekawiło to dziwne tokowisko i, znając już miejscowość, tegoż dnia na kilka godzin przed zachodem słońca wybrałem się sam dla gruntownego jego spenetrowania, z zamiarem spędzenia nocy po podsłuchach gdzie się da, choćby na jakiej suchej kępie lub burcie rowu.

Miejsce, które od niepamiętnych lat, jak twierdzą miejscowi myśliwi, obrały sobie głuszce dla wiosennych godów, leży w dużej, może 200-hektarowej kępie karłowatego, na grząskiem bagnie wyrosłego lasu, w połowie brzozowego, w połowie sosnowego. Kępa ta otoczona jest ze wszystkich stron pierścieniem półtorakilometrowej szerokości, prawie całkiem nagich i takichże, trudno dostępnych moczarów obramowanych z kolei wysokopiennym, mieszanym lasem rosnącym na suchym już przeważnie gruncie. Cała ta bagnista kotlina wynosząca przeszło półtora tysiąca hektarów, nie posiada rzeczywiście ani jednej suchej wysepki, ani jednego normalnie wyrośniętego drzewa. Uczęszczana jest przez ludzi tylko dwa razy do roku: na początku lipca, kiedy wykaszają cały prawie pierścień nagich błot i poszczególne, mniej zarosłe łozą działki wśród brzeziny, — później w zimie przy zwózce stogów. Spokojny więc i odludny zakątek obrały sobie głuszce na tokowisko, dziwnem tylko było to, że pogardzając ładnym mszarem sosnowym, grały najchętniej na brzozach.

Na długo przed zachodem słońca obrałem sobie na miejsce noclegu twardą kępę między dwiema brzozami splecionemi z sobą korzeniami; zniosłem trochę chrustu dla podsycania ogniska i, pozostawiwszy plecak, zlustrowałem miejscowość. Orjentacja była łatwa, gdyż cała środkowa kępa zagajeń poprzecinana była wąskiemi linijkami dzielącemi powierzchnię na 4-dziesięcinowe kwatery. Na skrzyżowaniach linijek stały numerowane słupki. Było to zrobione za rosyjskich jeszcze rządów dla ułatwienia sprzedaży działek kośnych, gdyż, jak wspomniałem, wykaszano nietylko otwarte błota, lecz i działki z zaroślami, wskutek dużego popytu siana w okolicy.



Odyniec zabity w nadl. Chełmskim przez gen. K. Fabrycego wicepr. Polsk. Związku Stow. Łow.

Choć mnie bardzo nęciła sympatyczna sośnina z ogromnemi poduszkami Sphagnum, upstrzonemi żórawinami, z kępami bagna i wełnianką, to jest z tem wszystkiem, co tak ściśle wiąże się w pojęciu myśliwego z głuszczowymi tokami,—pamiętając jednak ranne dziwy, usiadłem na podsłuchy w brzezinie nad tym samym kanałem, którego brzegiem szliśmy rano. Obrałem sobie skrzyżowanie kanału z jedną z linijek, po której biegła wydeptana latem, zapewne przez kosiarzy, wąska ścieżka, teraz zalana wodą. Ostrożnie przestawiając nogi, by nie pluskać, można było prawie bez szmeru posuwać się naprzód, a dno ścieżki było względnie twarde; obok zaś trzcina, łoza i zeschłe trawy udaremniały wszelkie wysiłki skradającego się myśliwego.

Głuszce zaczęły zlatywać się bardzo wcześnie, na długo przed zachodem słońca, i do późnego zmroku naliczyłem jedenaście pewnych. Tokowisko to było bardzo skoncentrowane i tylko dwa koguty zapadły o jakie czterysta kroków od jego ośrodka, przy przedłużeniu linijki, na której siedziałem.

Pełen radosnych przeczuć na jutro, wycofałem się ostrożnie ścieżką, przebywszy kanał po przygotowanej za dnia kładce i, uszedłszy z pół kilometra, rozpa-

liłem na swojej kępie ognisko. O śnie oczywiście mowy nie było, bo i wyciągnąć się dobrze nie było na czem, przetrwałem więc te kilka godzin krótkiej, wiosennej nocy, marząc o głuszcach i dokładając potrochu chrustu do malutkiego, przystosowanego do rozmiarów kępy, ogniska.

Dobrze przed świtem stałem już na miejscu podsłuchów. Noc była cicha, ciepła i chmurna; prócz cichutkiego szemrania wody w kanale, żaden dźwięk nie mącił jej ciszy. Nie wyczuwało się w powietrzu nic wspólnego z wiosną i tokami, miałem raczej chwilami złudzenie, że czekam świtu na zlotach kaczych, w późnym okresie jesieni. Drgnąłem też mimowoli, gdy pierwsze, ciche klapanie doleciało do mnie z tego miejsca, gdzie zapadała z wieczora większość głuszców. Nie zważając na to, zacząłem zwolna posuwać się ścieżką ku dwom milczącym jeszcze, odosobnionym głuszcom, wiedząc, że podejście do całego grona zebranych razem śpiewaków będzie bardzo trudne, jeżeli nie zgoła niemożliwe.

Noc bladła. W oddali, zgubiony w ciemnem niebie, warczał kszyk. Coraz to więcej białych postaci brzóz bezlistnych wyłaniało się z mroku: zdawało się, że bezgłośna czereda zadumanych postaci obstępuje mnie coraz ciaśniej, nieprzychylnie przyglądając się intruzowi.

Wtem chrapliwie zaszeptała gdzieś słonka i jakby na umówione hasło odezwały się jednocześnie prawie oba koguty. Pieśń dalszego słyszałem dość wyraźnie, bliższy zrzadka tylko klapał. Wyczekałem chwili, gdy zaśpiewał, i po pięciu minutach byłem przy nim. Większa nieco od innych brzoza, na której bocznym konarze siedział, stała tak blisko ścieżki, że nie potrzebowałem zbaczać z drogi.

Dziwnie wolno i niechętnie ustępował tego ranka uparty mrok przed światłem dnia, mogłem więc dosyta nasłuchać się pieśni, zanim muszka na lufach mojej strzelby stała się o tyle widoczną, że można było zdecydować się na strzał. Naturalnie obrałem dla strzału moment, gdy drugi głuszec rozpoczął szlifowanie, licząc, że huku nie posłyszy i da się z kolei podejść. Stało się, jak zwykle, trochę inaczej, niż sobie układałem. Kogut mój, trafiony na bliską metę całym nabojem jedynki, ani zipnął, jednakże rozpostartemi skrzydłami opierał się przez czas pewien na gałęziach i grzmotnął o ziemię w dobre kilka sekund po skończonem szlifowaniu sąsiada. Nastąpiła grobowa cisza.

Trudno zliczyć w takich chwilach wlokące się nieznośnie minuty, ale musiało ich przejść bardzo wiele, zanim, stojąc na zdrętwiałych nogach, jak posąg cierpienia i cierpliwości, rozróżniłem na tle jaśniejącego wciąż nieba czujnie wyprostowanego na nagiej brzozie koguta, od którego dzieliła mnie odległość zaledwie 120 kroków. — Ptak ani się poruszył, cały zamieniony w słuch i wzrok, — i pewnie dotychczas dziobałby spokojnie żórawiny na rodzinnym moczarze, gdyby go nie otumanił słodki głos głuszycy przelatującej właśnie nad lasem w poszukiwaniu przygód miłosnych. Zapomniał biedak o dziwnym, niezrozumiałym dla siebie łoskocie, który mu uprzednio kazał mieć się na baczności; rozkrochmalił się w jednej chwili i, jakby dla przyzwoitości odrobiwszy szybko nakazane konwenansem głuszcowym, przedwstępne klapania, w słodkiem upojeniu pogrążył się w głuchej pieśni.

Już nie krępując się trzaskiem łamanych trzcin, maskując się tylko jako tako pniem bliższej brzozy, żywo poskoczyłem do głuszca i po kilkunastu potrójnych skokach, miałem go na dobry strzał. Oparty lewem ramieniem o pień brzozy, która mi służyła za osłonę, ze strzelbą na pogotowiu, chciwie wpiłem się wzrokiem w niecodzienne widowisko: ogromny, ciemny ptak zwolna spacerował po gałęzi białego, bezlistnego drzewa i rozsypywał po lesie perlistą kaskadę dźwięków.

Patrzyłbym tak i słuchał bez końca, gdyby nie obawa, że głuszec spłynie na ziemię i będzie dla mnie stracony. Ostatni akt dramatu leśnego rozegrał się szybko i sprawnie.

Odchodząc, słyszałem jeszcze liczne, zgrzytliwe głosy dolatujące z głównego tokowiska, lecz dość już miałem dwóch kogutów, bezcelowem zresztą byłoby płoszenie innych, niemożliwych do podejścia w takiem skupieniu, wśród jasnego dnia.

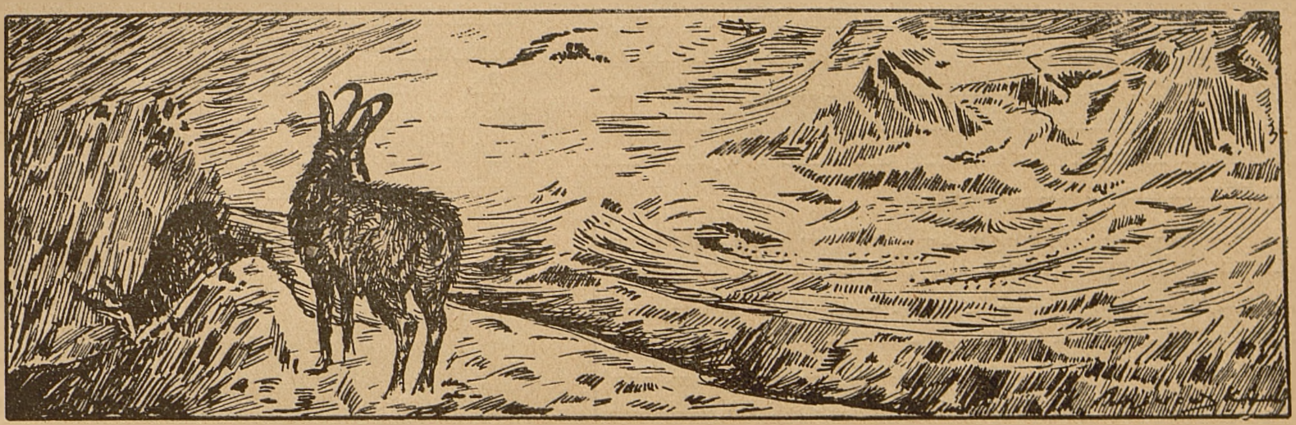
Po tych dwóch pomyślnych rankach postanowiliśmy z żoną nie mącić spokoju „brzozowym" głuszcom, poświęcając odtąd wieczory słonkom, ranki — cietrzewiom. Któregoś wieczoru, stojąc na ciągu słonek, w pobliżu leśniczówki, przypadkowo zasadziłem pojedynczego głuszca. Chcąc sprawdzić, czy i ten samotnik śpiewać będzie na brzozie (zapadł bowiem w mieszanym lesie, gdzie prócz sosen, świerków i osik, dużo było brzóz), wybraliśmy się nazajutrz przed świtem do niego w odwiedziny. Był wiatr, szumiały korony drzew i nie zaraz znaleźliśmy głuszca, śpiewał jednak doskonale pomimo psującej się pogody i zupełnie normalnie na sporej sośnie stojącej na granicy suchego boru i małego, leśnego błotka. Podejście było idealne z za dużego, kosmatego świerka zwieszającego prawie do samej ziemi dolne gałęzie



w kształcie namiotu. Stojąc już pod jego sklepieniem, napawaliśmy się długo czarownymi dźwiękami, aż w końcu, chcąc ułatwić strzał żonie, ułamałem suchy sęk świerkowy przeszkadzający w celowaniu. Choć było to zrobione w czasie głuchej pieśni, kogut, siedzący od nas nie dalej niż o 35 kroków, musiał posłyszeć dźwięczny trzask łamanej gałęzi lub też może rozchodzące się po lesie echo, gdyż przerwał grę i długo nasłuchiwał. Bojąc się, że nas odkryje i odleci, żona moja szybkim ruchem podniosła broń do oka i celnym strzałem przerwała jego kontemplacje.

Okazało się więc, że i w tamtych stronach nie wszystkie głuszce przekładają sosnom brzozy.

JÓZEF WOYNIŁOWICZ.



W GÓRACH KAUKAZU.

Dnia 8 lipca wyjechaliśmy z Tyflisu dyliżansem konnym, kierując się na północ po drodze Wojenno-Gruzińskiej. Zbrojni w wierne trójlufki, towarzysz mój — Józef Woyniłowicz i ja projektowaliśmy wycieczkę w góry, aby zapolować na kozły górskie, zwane tam „turami".

Główny grzbiet Kaukazki posiada trzy gatunki turów *), z których jeden, zamieszkujący środkową połać gór, był właśnie celem naszych zabiegów.

Po całodziennej drodze biegnącej z początku przez równiny stepowe i podgórza, później zaś przez gęste i rozległe lasy liściaste, specjalnie piękne pomiędzy stacjami Ananur i Passanaur, zatrzymaliśmy się na nocleg w Mletach, skąd droga zaczyna się piąć na główny grzbiet w kierunku przełęczy, wzdłuż potoku Białej Wody.

Po wijącej się serpentyną ku górze szosie szła krokiem czwórka ciężko dyszących koni, a rudobrody konduktor często schodził z kozła i, przecinając na ukos stok góry, z pobłażliwym uśmiechem oczekiwał, siedząc na kamieniu, na wlokący się dyliżans.

Minęliśmy wreszcie przełęcz i podróż poszła raźniej. Zaraz też po południu dotarliśmy do stacji Kazbek, leżącej naprzeciwko słynnego szczytu, który jednak zakryty był dla oka przez nizko nawisłe chmury.

Mając czas dość ograniczony, zakrzątnęliśmy się zaraz, by dostać przewodnika i przygotować wszystko do wycieczki.

Dyrektor muzeum przyrodniczego w Aschabadzie— Bilkiewicz, polecał mi niejakiego Mussę, ingusza, mieszkającego w małej wioseczce już na stokach Kazbeka. Gdy zapytałem o niego służącego hotelowego— gruzina, który mając widać żyłkę myśliwską, bardzo ciekawie oglądał nasz sprzęt łowiecki, dowiedziałem się, że Mussa już stary — nie chodzi nigdzie, a przewodnika i to bardzo dobrego możemy dostać jeszcze dziś wieczór.

Tak się też stało i stało się źle, ale o tem dowiedziałem się i przekonałem dopiero znacznie później. Okazało się bowiem, że Mussa był jeszcze podówczas w pełni sił i znał góry pod względem łowieckim, jak nikt inny, słowa zaś służącego-gruzina miały za przyczynę odwieczną nienawiść gruzinów i inguszów, dwóch różnych zupełnie pochodzeniem plemion, nienawiść, będącą nieraz przyczyną krwawych waśni i powodującą pewien nieoficjalny, ale zwyczajowy podział terenów łowieckich pomiędzy myśliwymi różnych plemion.

Ten też fakt był przyczyną, że gdy nadszedł polecany przez służącego przewodnik — gruzin Waliszwili, który notabene bardzo nam odrazu przypadł do gustu, i gdy zaczęliśmy robić szkic wycieczki, Waliszwili odrzucił mój projekt wyruszenia na zbocza Kazbeka, które polecał mi Bilkiewicz, jako najlepsze i najpewniejsze miejsca. Waliszwili twierdził, że teraz tam nic niema i że cała zwierzyna przeszła na przeciwną stronę doliny Tereku płynącego w wąwozie Darjalskim, i zgromadziła się na stokach góry Szat. Tam też obiecał nas prowadzić, zapewniając, że spotkamy dużo zwierza, że są tury — i to przepiękne okazy, kozice, niedźwiedzie.

Całe tło tej machinacji było mi wówczas zupełnie nieznane, więc nie widząc racji niewierzenia przewodnikowi, zwłaszcza po obiecaniu mu solidnego napiwku za każdą zabitą sztukę, postanowiliśmy zaraz nazajutrz wyruszyć na stoki Szata.

Dwukołowa „arba" zaprzęgnięta w starego, dropiatego siwosza, niosła nazajutrz o świcie szosą na północ nas czterech, Waliszwili bowiem dobrał sobie do pomocy krewniaka, który miał opiekować się koniem i pakunkami. Rzeczy potrzebne na kilka dni w góry,

*) Capra Sewertzowi, Capra caucasica, Capra cylindricornis.

a mianowicie zapasy żywnościowe i ciepła odzież, spakowane były w dwa worki — „kurżumy", które juczyć można na konia.

Pozostawiwszy w przydrożnym „duchanie" (zajazd) arbę, najuczyliśmy na siwosza kurżumy i ruszyliśmy ledwoznaczną, wśród kamieni, ścieżyną wzdłuż potoku wpadającego do Tereku, a noszącego rosyjską nazwę Kistienki. Waliszwili szedł pierwszy, za nim my — dwaj myśliwi, a pochód zamykał krewniak Dawid, prowadzący jucznego konia. Pięliśmy się wciąż w górę i droga nie była lekka. To trzeba było brnąć po osypisku drobnych kamieni usuwających się pod nogami, to skakać po złomach skalnych. Podziwiałem siwosza: zaiste tylko zwierzę urodzone i wychowane w górach mogło iść tamtędy.

O kilka kilometrów w górę potoku zaczęły się na stokach doliny zjawiać lasy, przeważnie karłowate brzozy. Tu już trzeba było się oglądać za zwierzyną, puszczając w ruch lornety. Dał przykład Waliszwili, wydostając ze skórzanego futerału lunetę, którą rozciągnął na długość metra, i sadowiąc się na kamieniu z opartymi o kolana łokciami, począł lustrować przeciwległe zbocza.

Józio szturchnął mię w bok:

— Patrz, — rzekł, — czy nie przypomina ci ta figura średniowiecznego astrologa?

— To prawda, — odparłem, — zupełny astrolog.

Waliszwili ubrany był w rodzaj sukmany sięgającej kolan, rozszerzonej nieco ku dołowi i zaopatrzonej w szerokie, dość powiewne rękawy, na głowie zaś miał stożkowatą, śpiczastą czapkę skórzaną, obszytą na brzegu pasem baraniego futra. Całość ta razem z lunetą utkwioną nieruchomo ku górze, robiła rzeczywiście wrażenie średniowiecznego badacza niebios.

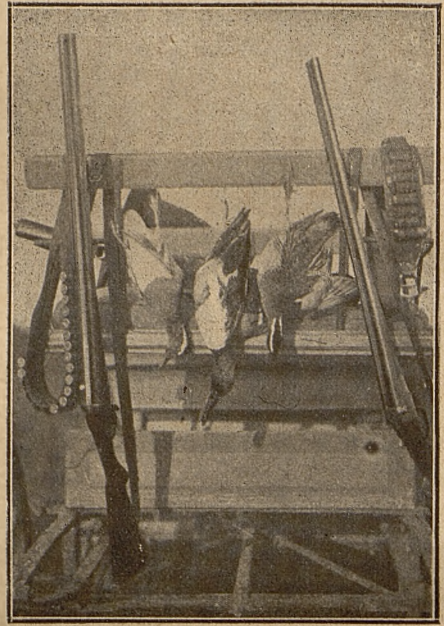
Miano to, trafiające w sedno rzeczy, pozostało już jak dobrze naklejona etykieta, i mówiąc o naszym przewodniku, nie nazywaliśmy go inaczej niż astrologiem.

Niebawem jednak astrolog wykazał nam wyższość swego staroświeckiego przyrządu nad naszemi drobnemi lornetami. Wyszperał gdzieś w górze — na granicy lasów i połonin, kilka sztuk turów i, kładąc nieruchomo lunetę na wielkim głazie z podłożonym odpowiednio kamieniem, wymownym ruchem zapraszał nas na widowisko. Gdym spojrzał w lunetę, dostrzegłem nad skalnym złomem kilka płowych od słońca, malutkich plamek nieruchomych i jakby zwróconych ku nam. Dotarłem następnie do tego miejsca wzrokiem przez swą sześciokrotną, zeissowską lornetę, i nic; złomy skalne są, ale mniej wyraźne, turów niema; spojrzałem w lornetę—znów tury stoją. Nie mogłem się w pierwszej chwili połapać, dopiero gdy sobie uświadomiłem, że przez szerokość doliny (gdyż szliśmy zboczem w znacznej odległości od potoku) w górę do zwierzyny było najmniej 8 km. w prostej linji, zrzumiałem, że sześciokrotne przybliżenie, nawet przy najlepszych szkłach, w tych warunkach jest za słabe.

Pod dobrem wrażeniem widzianej zwierzyny ruszyliśmy dalej, aby jaknajprędzej dojść do miejsc, gdzie mieliśmy polować. Miało tam być zwierzyny więcej i teren lepszy niż tutaj. Jakoż przed nocą dotarliśmy do pierwszego takiego punktu. Na nocleg zatrzymaliśmy się nad samym strumieniem płynącym tu prostą jak strzała, doliną ze wschodu na zachód, o stokach mało spadzistych, dostępnych, porosłych na wysokość najwyżej kilometra pasem karłowatego lasu brzozowego, a później pasem łąk przechodzących wyżej w skały i turnie.

W miejscu tem znalazło się schronisko pasterskie, zrobione z kamieni pod nawisłą skałą i tworzące rodzaj pieczary o naturalnym suficie a sztucznych ścianach, jednak tak niskiej, że nie można się było w niej wyprostować.

Po wieczerzy spożytej przy blasku ogniska, wymościliśmy sobie leża trawą i przywiezionymi kocami, i nakryci kożuszkami, wyciągnęliśmy zdrożone całodziennym trudem członki.



Wiosenne trofea. Fot. Z. Kurek. Gniew.

Cisza była wokoło, chwilami tylko słyszałem jeszcze stłumioną przez skalną ścianę, rozmowę przewodników, jednostajnie szumiał potok w swem kamiennem łożysku, na tle skalnej ściany pełzał słaby odblask dogasającego ognia, wpadający przez wejście. Wprost nad swą głową miałem okienko niezałożone kamieniami, wychodzące na zachód — na przebytą przez nas drogę; szedł stamtąd świeży aromat jakichś ziół górskich, płynął lekki pobrzęk nocnych owadów.

Wnet jednak oczy zaczęły się kleić, mąciły się myśli ukołysane chwilową jednostajnością wrażeń — i usnąłem tak mocno, że nie słyszałem wcale, kiedy nasi ludzie, ukończywszy sakramentalne picie herbaty, zajęli swe miejsca noclegowe w przeciwległym rogu pieczary.

Zdawało mi się, że spałem krótko, że noc jeszcze nie minęła, gdy ocknąłem się pod wpływem jakiegoś światła. Otworzyłem oczy i ujrzałem promienie słoneczne, które wpadły snać przez okienko nad mą głową i barwną plamą znaczyły przeciwległy głaz skalny, kamienistą podłogę i kosmatą figurę nakrytego baranim tułupem, człowieka.

Nie ruszając się z miejsca, zacząłem kombinować, jakim sposobem światło pada z ponad mej głowy, czyli od zachodu, jednocześnie też zadziwił mię mrok

panujący jeszcze w pieczarze, i brak pełnego dziennego światła u wejścia, a tylko szere, przedświtowe cienie.

Zaintrygowany dziwnem zjawiskiem, uniosłem się na kolanach, by spojrzeć przez otwór nademną, i omało nie krzyknąłem ze zdumienia. Widok, który uderzył me oczy, był tak nadzwyczajny i tak nieziemsko piękny, że bez namysłu ucapiłem za kark śpiącego koło mnie towarzysza wyprawy, zmuszając do podniesienia się i wyjrzenia.

To, co brałem za samo słońce, było płonącym w promieniach wschodzącego słońca szczytem Kazbeka, rozgorzałym cudowną glorją światła na tle ciemnego jeszcze błękitu nieba, w ramce pogrążonych w cieniach nocy stoków doliny, rysujących czarne olbrzymy złomów skalnych i sylwetki pobliskich drzew. Widok był tak niezwykły, kontrast dyszącej żywym ogniem góry i ciemnego jeszcze padołu ziemskiego tak olbrzymi, że przez długi czas patrzyliśmy na to cudo, nie mogąc przemówić słowa, ni myśli zebrać, z zapartym tchem, żyjąc jedynie chwilą zachwytu i uniesienia.

Później spojrzeliśmy na siebie.

— Wiesz, — rzekł Józio, — taką chwilę przeżywa się chyba raz tylko w życiu...

— Tak, — odparłem, — jak pierwszą miłość... Następne są może równie piękne, albo nawet piękniejsze, ale nie robią już tego wrażenia.

Już i w dole rozwidniło się zupełnie, gdy wyruszyliśmy w góry, pozostawiając Dawida z koniem i jukami przy pieczarze. Przeszliśmy potok i pięliśmy się po stromem zboczu, porosłem gęstą, wysoką trawą i lasem karłowatej, o pokurczonych pniach brzozy. Spotykaliśmy ciągle gile; widać północne te ptaki gnieździły się tutaj — w klimacie i drzewostanach podobnych do ich ojczystych — z pogranicza puszcz północnych i tundry.

Cały dzień zeszedł nam na włóczędze w górach, już ponad lasami. Dwa razy widzieliśmy zdaleka tury, ale oba razy zwierzyna była w ruchu i próby podchodzenia doprowadzały do miejsc już pustych.

O południu zatrzymaliśmy się przy chłodnej krynicy przeczystej, górskiej wody i odpoczywając, posilaliśmy się wziętymi zapasami. Leżąc na kobiercu bujnej, pachnącej trawy, tworzącej zielone placyki pomiędzy dużymi głazami skalnymi, rozrzuconymi na całem zboczu, podziwiałem szeroki widok na cały przeciwległy stok doliny, zamkniętej zębatą ścianą wysokiego grzbietu.

W pewnej chwili uwagę moją zwrócił biały punkcik na odległych połoninach. Lorneta, zwrócona w tę stronę, nie wyjaśniła mi nic, punkcik zmienił się tylko w biały, nieruchomy krążek, niby drobną, srebrną monetę, błyszczącą w słońcu i rzuconą w zieleń traw. Pokazałem ten przedmiot Waliszwilemu i ten z uśmiechem objaśnił mię, że to stado białych owiec, które się na południe zeszły do kupy i leżą w słońcu, odpoczywając.

(Dok. n.). WŁ. KORSAK.



TAJNE ŁOWISKA.

Zdarza się w naszych rewirach, a zdarza się w ostatnim czasie coraz częściej, że tu i owdzie pada kapitalny kozioł, że tam znowu ubito wspaniałego byka, że jeszcze gdzieindziej chodzą rogacze o porożu jak cenne klejnoty, którego zdobycia łaknie niejedno głodne i niejedno niczem nienasycone serce polującego pana.

Przyjechałby najchętniej w obce strony, aby w jeden czy dwa dni wywieźć dumę i ozdobę rewiru zamiłowanego hodowcy, któremu serce się krwawi na myśl o nagłem i często niezasłużonem pozbawieniu go kapitalnego wychowanka, owoców zabiegliwej ochrony i starań hodowlanych, zazwyczaj wieloletnich.

Skoro zaś fama o ubiciu wspaniałej sztuki pójdzie po okolicy, dotrze do miast, rozniesie się w kołach, od których niefortunny hodowca niejednokrotnie bywa zależny, już nie sposób opędzić się przymawianiom, jak nie można się oprzeć wyraźnym dyrektywom w kierunku ułatwienia takiej czy innej osobistości, ubicia podobnie pięknego okazu, jako że najwidoczniej są, skoro już jeden padł...

Jest tylko jedna obrona przed takim legalnym najazdem, przed niebezpieczeństwem ludzi waż-

nych, wpływowych i polujących, których niezawsze można bez obaw puścić do rewiru o bogatym i pięknym zwierzostanie. A często niestety, wbrew przekonaniu, trzeba tak właśnie uczynić.

Jest tylko jedna obrona — przyczaić się. Stąd to zapytanie, gdzie padł kozioł widziany u pana X., albo jeleń, którego wieńce wiózł w samochodzie pan YZ, pozostawiane bywa bez odpowiedzi. Niema w tem, a w każdym razie mało jest czynnika zazdrości łowieckiej, nieobcej każdemu, kto polując, nie miewa szczęścia; więcej tu poczucia koniecznego milczenia, obowiązującej wobec gospodarza dyskrecji zorganizowanej jako samoobrona przed niekoniecznie powołanem kołem „ważnych a polujących".

Trzeba się nieraz zadowolić w odpowiedzi wykrętnym ogólnikiem dającym odpowiedź daleką od rzeczywistości umyślnie, aby zmylić poszlaki, aby utrudnić poszukiwania komuś, kto chciałby mimo wszystko wypenetrować ostoje, w jakich żyją i w jakich paść mogą podobnie piękne okazy.

Słyszy się wówczas określenia miejsca ubicia dosyć szerokie, dość swobodnie szafujące przestrzenią. „W północnych powiatach Poznańskiego..." W jednym z rewirów małopolskich...

Ale trzeba zrozumieć gospodarza tłumiącego zachwyt nad bogactwem i gatunkami zwierzostanu, prośbą: — Tylko, na miły Bóg, niechże pan nie wspomina, że tu tyle tego. Że pan widział czterdzieści jeleni niepłodnych zupełnie. I że są pozatem dziki, daniele i kozły...

— Nie miałbym sposobu oprzeć się. Jestem zależny od szeregu ludzi, którzy czyhają tylko na sposobność, a przecież, proszę zrozumieć, nie mogę, nie mogę pozwolić, aby mi pseudomyśliwi mieli niszczyć w jednym roku wszystko.

Wiemy dobrze, iż niema w tem wiele przesady. Jedna nieopanowana „namiętność" strzelecka może bez trudu wielkiego w proch i w pył rozgromić ufne dotąd i bezpieczne chmary płowej zwierzyny.

Niekażdy właściciel czy dzierżawca łowiska zdaje sobie sprawę z tego, że mogą być hodowcy między młotem a kowadłem, między ewentualnością narażenia się władzy a widokiem pustych i przepłoszonych rewirów. Trudna to bywa sytuacja.

— Wytłukliby mi wszystko oficjalni nasłańcy, którym strzału nie mogę odmówić. A tu jeszcze czasu trzeba i cierpliwości, aby się wieńcy dochować, aby doczekać się równowagi w rodzajach i doprowadzić do niej mądrym i trudnym odstrzałem.

— Tego nie zawsze rozumieją, nie często chcą uznać.

— Więc najlepiej nie kusić, nie drażnić widokiem dobrych i licznych rogaczy. Lepiej z niespodzianką kiedyś wystąpić, że jednak są. Przeczekać czasy krytyczne, kiedy tu i tam na stanowisku, z punktu widzenia myśliwskiego ważnem, siedzi laik, człowiek bez wyczucia i bez zrozumienia. Przyczaić się! Tajnym zachować rewir, który ma jedyne i dla całej okolicy ważne ostoje, pamiętając, że nic prostszego, jak w razie nadmiaru zwierzyny, jednym dniem zorganizowanego polowania, w ciągu krótkiego okresu systematycznych odstrzałów zmniejszyć go do każdej ilości; to nie sztuka. Stuletnie drzewo może paść pod siekierami natychmiast. Ale sto lat będzie się czekać, aż nowe na jego wysokość się wzbije.

Wracając natomiast do sprawy wskazanego czasami tajenia dobrych ostoi, przypomnę, że kiedy parostki zdobyte przez dziadka mego, ś. p. Adama, uzyskały na jednej z powszechnych wystaw łowieckich w Berlinie pierwszą nagrodę, Wilhelm II-gi zainteresował się łaskawie rewirem, w którym padł tak wspaniały okaz. Niewiele brakowało, a byłby zjechał — na kozła. Drugiego, choć w przybliżeniu podobnego, z pewnością trudno byłoby znaleźć.

A rezultat? Zapewne kilka sztuk słabszych ubitych, kilkanaście strzałów danych na wszelkie odległości w rewirze, w którym przypadek może ponownie pod stopy cesarza rzucić kapitalne trofeum, — zamieszanie w rewirze przez parę dni, niezadowolenie władcy polującego, że trofea nie są dostatecznie dostojne, jak na jego cesarską wysokość, w końcu do sumy udręk wliczyć jeszcze byłoby trzeba i niesmak gospodarza, któremu ani metody łowieckie, osławione, jeśli o osobistość Wilhelma chodzi, ani panoszenia się zgrai łowczych i obecność całego aparatu reprezentacyjnego w lesie i w domu, nie mogły sprawiać rozkoszy.

Bóg łaskaw, czasy się zmieniły. Inny stosunek jest dzisiaj do tych spraw w myślistwie polskiem. Ale rdzeń jakiś u samego sedna rzeczy pozostał. Odbarwiony od sentymentu narodowego, od takiego czy innego poczucia wartości władzy, ludzki!

I dlatego rozumiem gospodarzy rewirów tajnych. W sensie najbardziej myśliwskim, z niewyrachowanego umiłowania zwierzyny życzyćby trzeba, aby ich było wiele.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.



Polesie.
Jakób, sławny tropiciel na Polesiu, z dwoma rysiami zabitym dubeltem przez p. Olgierda Śliźnia.
Fot. M. Hoffman.

Jarosławowi hr. Potockiemu
poświęcam.

ZACZAROWANY GŁUSZEC.

Twój Aleksy, strzelec stary
Opowiadał dziwne baje,
Że przed dworem, nie do wiary,
Na topoli głuszec „hraje".

I podobno wciąż tu grywa
Od lat wielu. Rzecz to znana.
Wszyscy wiedzą, że się skrywa,
Ludzka dusza zczarowana.

Ongiś mieszkał w Rzepichowie
Pan, co w ręku miał buławę,
I pierwszego, księga powie,
W Polsce całej, łowca sławę.

By usłyszeć pieśń głuszcową,
Siedział w kniei aż do rana,
Wtem zagadał ludzką mową
Czarny głuszec do hetmana.

Jezu, Chryste, Matko Święta,
Z trwogą wrócił hetman stary;
„Niechaj każdy z was pamięta"
Tak przemówił do swej wiary:

„Jam tu panem na zamczysku,
Więc posłuchaj ludu marny,
Takim panem w uroczysku,
Jest na puszczy głuszec czarny".

Przeminęło lat już wiele,
Gdy wiosenne przyjdą zorze...
W uroczysku jak w kościele.
Każdy żegna się w pokorze...

Tak Aleksy skończył baje:
„Prawdę powiem, serce boli,
Że tam w głuszcu na topoli,
To hetmańska dusza „hraje"...

*
* *

Chciałbym bardzo w noc tajemną
Gdy pod pieśnią głuszca stoję,
Abyś wtedy była ze mną,
Pani jasna — szczęście moje.

Już ucichła puszcza cała,
Nawet księżyc kryje lice
Tubyś może wyszeptała
Duszy Twojej tajemnicę.

I głuszcowe zmilkło pienie,
Znikła kniei moc ułudna,
Słyszę Twego serca drżenie,
Powiedz: kocham, powiedz, cudna.

Rozbudziły się moczary,
Gdzie straż pełni mgła obłudna,
Niechaj słyszą leśne mszary,
Że Cię kocham, kocham, cudną.

Idzie wiosna.

Zapatrzony w nieba brzegi,
W uroczysku głuszec śpiewa,
Już stopniały w puszczy śniegi,
Zaszumiały wiosną drzewa.

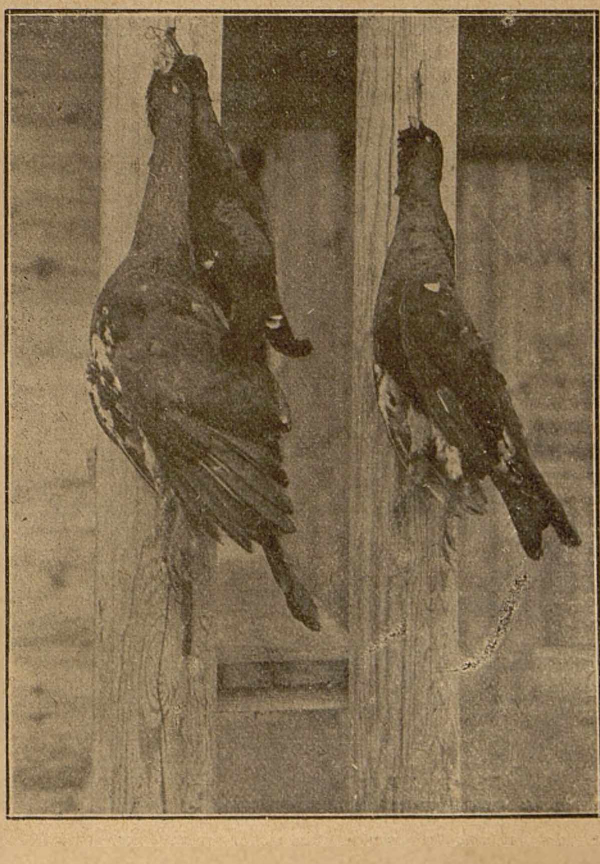
Mgła przytula się do błota,
Cisza wszędzie. Ciemność ginie
W księżycowem lustrze złota,
A tajemna pieśń wciąż płynie...

Tony pieśni wypieszczone,
Leśnem echem mkną przez mszary,
Aż pobudzą, zatrwożone,
Na jeziorze nenufary...

A pieśń idzie... Z której strony,
Wiatr zapyta przez szuwary,
Wtem się zerwie ucieszony
Na zew wiosny kaczor stary

I poleci on na gody
W jaśniejący promień krwawy,
W te błyszczące, smętne wody,
Żądny pieszczot i zabawy.

W. TRZETRZEWIŃSKI



SYMFONJA MYŚLIWSKA.

(Poświęcam swemu wnukowi,
Adasiowi Wodzińskiemu).

I.

Dusza i serce srodze się radują, widząc na terenach Zaborówka, w tak bliskiej od Warszawy odległości (28 klm.) błogosławione łowisko rojące się od zajęcy, kuropatw i królików.

Pamiętam, kilka lat temu, nędzne pozostałości z czasów przedwojennych. Był to obraz nędzy i rozpaczy. Zawierucha światowa, później zacna konfraternia kłusownicza zredukowały prawie doszczętnie wspaniałe niegdyś zwierzostany.

Dzięki nowej ustawie łowieckiej nastąpiła pewna reglamentacja w anarchicznych niemal stosunkach „co twoje, to moje — a zwierzyna Boża — tembardziej".

Ale najlepsza ustawa sama przez się cudów nie dokaże.

W całokształtcie stosunków łowieckich jest to czynnik niezawodnie pierwszej klasy, ale fidjaszem twórczym pozostaje rzetelna „Dusza myśliwska".

A do takich śmiało zaliczyć można moje kuzynostwo, panią Różę z hr. Jezierskich i Gabrjela Wodzińskich, jako też mego zięcia, p. Gustawa Wodzińskiego.

Zanadto jestem starym praktykiem, żebym nie „delektował się" najdrobniejszym szczegółem z tej całkowitej harmonji „kontrapunktu", że tak powiem, sztuki łowieckiej, zaobserwowanej na tych rewirach.

Jeśli do tego dodać wymarzoną pogodę w tym dniu, 12 stycznia r. b., mrozik 4-stopniowy bez wiatru, śniegu akurat w miarę, dobór najsympatyczniejszych kompanów—myśliwych, staropolską gościnność dworu Zaborowieckiego „na uboczu leżącego, lecz w bliskości serca zawsze" — to zrozumiałem się stanie tytuł tego mego artykułu.

Bo zaiste ileż to razy się zdarza, że pomimo obfitości trofeów, wzorowego prowadzenia łowów, „coś" jednak nie dopisuje. Pogoda, czy zgrzyty towarzyskie, czy nastrój psychiki lub zdrowie myśliwca?

To ostatnie jednak, według mego zdania, powinno być zawsze „uleczone przez cudotwórczy kontakt z przyrodą. „Trzeźwość i rzeźwość" bajeczna nastąpić winna jak u starożytnego Anteusza przy każdem dotknięciu się matki ziemi. Tak samo u myśliwego, gdy tylko „ze strzelbą na ramieniu" znajdzie się „na wolności" — lub na stanowisku.

Ale pomimo to „harmonja" nie zawsze bywa kompletną. To też każde przeżycie takowej należy do rzadkich klejnotów bytowania w skarbcu szczerozłotych wspomnień z pietyzmem przechowywanych.

Do tych więc ostatnich przybywa jeszcze jeden drogocenny nabytek, o którym niżej.

II.

Grono myśliwych, do których oprócz podpisanego, uprzejmych gospodarzy z ich synami, Jasiem i Józiem, oraz zięcia mego, weszli p.p. Jerzy Ciechomski, Stanisław de Henning-Michaelis (król polowania), Michał Wodziński, Stanisław Gliński, Lucjan Morzycki, Władysław Karnkowski, Henryk hr. Tyszkiewicz, Antoni Marszewski, Tomasz Berson, Władysław Kondratowicz i Władysław Brzozowski — opolowało cztery mioty polne (kotły) oraz tę samą ilość leśnych. Poczciwe leporydy snuły się jak mrówki, w kociołkach, sypały się jak z rogu obfitości, w pędzeniach leśnych.

Ogółem w ten błogosławiony poniedziałek (a mówią, że to dzień feralny — fałsz wierutny) — padło, od nieraz dalekich i bardzo mistrzowskich strzałów, zajęcy 204, lis jeden, kogutów bażancich 2, reszta króliki — w sumie 229 sztuk. Ze względów hodowlanych podczas pędzeń w zagajnikach, flanki nie były obstawione gdyby nie to — z łatwością można było osiągnąć cyfrę zbliżoną do 400.



Adaś Wodziński „ze strzelbą na ramieniu".

Sługa łaskawy Czytelników prawie że nie mając w kotłach na strzał myśliwski zajęcy, wystrzelił li tylko 12 ładunków — podniósł 7 szaraków, z tych parę dostrzeliwanych. Więc, jak mawiali staroświeccy kuchmistrze o „podkurkach", z ograniczonej ilości dań się składających — było to „krótko a smaczno".

Gdyż dla prawdziwego myśliwego przenigdy ilość, ale zawsze jakość strzałów i zdobyczy — to grunt.

Więc Bogu i gospodarzom gratias serdeczne. Powracając wieczorem w szkarłatach gasnącej zorzy dnia mroźnego, jakże się cieszyła dusza myśliwska, obserwując gęste punkciki zajączków, trwożliwie po tarapatach dnia dla tylu z nich tragicznego, po polach „kicających", — te stadka kuropatewek, rzekłbyś, żywe fragmenty Chełmońskiego gęsto tak napotykane.

Charakterystyczne: ko! ko! kok! bażantów na nocleg zapadających. Tych ostatnich padłoby też niezawodnie kilkanaście w zagajach, jeśliby naganka, która, notabene, idealnie się spisywała — w gąszczu jednakże nieco za głośno nie pędziła. Widniały też tu i tam na bieli śniegowej tropy dzików, których stado z około dwudziestu osobników złożone, niedawno gościło w Zaborówku. Obecnie wyemigrowały do puszczy

Kampinoskiej. Ale „a rividerci" — jeśli św. Hubert pozwoli — nieprawdaż?

Dla mnie, jako dla weterana hodowlanego, niemasz większej rozkoszy, niż napawanie się takimi widokami, jak podobne powroty „post factum" polowań, kiedy to taka mnogość „narybku" na sezon przyszły nietknięta pozostaje.

Cichą elegję stanowią owe obserwacje zwierza i ptactwa po minięciu dla nich tak groźnego okresu. „Crescite et multiplicamini" zajączki i kuropatewki miłe. Słowa Heinego o odpoczynku wieczornym, mimowoli natenczas cisną się do serca; cudowny motyw pieśni włoskiej „ridonna mi la calma" znajduje tu swe pełne zadośćuczynienie.

Gdzieżbyś szukał, bracie miły, owego spokoju, owej „calmy" cudotwórczej, jeśli nie na łonie matczynem natury. Na tych łowach szlachetnych i szlacheckich, którymi się upaja jako miodem wystałym, winem szczerozłotem.

Tam na widnokręgu odblask ogni „miasta złego", a tu? taka bliskość „dworu dobrego". Praojców naszych siedziba czeka na nas z sercem na ścieżaj otwartem, w najmilszem towarzystwie istnych dusz myśliwskich. Lecz na tem jeszcze nie koniec symfonijnych przeżyć czarownych na piaszczystych polach prastarego Mazowsza.

III.

Goszcząc w pobliskim folwarku Wąsy, dzierżawionym przez mego zięcia, p. Gustawa Wodzińskiego, na drugi dzień po polowaniu, mój kochany wnuczek Adaś, dorosły młodzian, całe dziewięć lat liczący, widząc, że wychodzę ze strzelbą na ramieniu, tak ładnie prosić zaczął:

„Pójdziemy dziadziu razem na polowanie". Z całego zachowania się i sposobu bycia Adasia aż biła potencjalna, atawistyczna nuta pasji łowieckiej. Nie mogłem mu odmówić. Ale, niestety, do pary usadowionych na jabłonkach ogrodu, kwiczołów (prawdziwa zwierzyna, nieprawdaż?) nie udało się podejść na metę. Przezorne wielce wrony i gapy wcale się jakoś nie gapiły, starannie nas omijając.

Wróciliśmy więc bez strzału. Adaś był zrozpaczony, lecz cóż robić?

Wieczorem byliśmy w lasku, oczekując przy norze na jakieś bardzo problematyczne króliki, a nawet lisy. Oczywiście rezultat — figa. Natomiast nazajutrz święty nasz patron łaskawie nam się uśmiechnął. Kroczyliśmy z fantazją wielką po zamarzniętej podorywce, Adaś też dzielnie dreptał obok dziadzi, szczebiocząc jak szczygiełek w pogodny ranek majowy. A ja, przyznam się szczerze, miałem tremę — i to jeszcze jaką.

Pierwszy raz przy tak ukochanym obserwatorze, oby tylko z kretesem „nie zblamować się". Bo dziecko zawsze wszystko widzi, wszystko zauważy, wszystko zapamięta. Pierwsze wrażenie bywa zawsze decydujące. I opinja o dziadzi - pudlarzu przykrąby niewymownie dla mnie była. Skądinąd chcę Adasiowi pokazać, że się jeszcze w marazm starości nie wpadło. Niema co robić, trzeba ryzykować i do gawronów nawet strzelać. Jakaś poczciwa gapa ciągnie dobrodusznie na jakie osiemdziesiąt kroków. Składam się. Strzał... leci... drugi... jeszcze lepiej. Przekleństwo. Mam jednak wrażenie, a mylę się rzadko, że za pierwszym zamarkowała. Wtem, o radości, skręca się błyskawicznie w powietrzu i jak każdy objekt, w środek trafiony, szmatką bez życia koziołkuje, dziobem w śnieg się zarywając.

Okrzyk tryumfu Adasia, który leci podejmować czarne trofeum. A na mnie nalatuje pieszczotliwą marą fala wspomnień z mych lat dziecinnych, kiedy to ongiś ze swym pierwszym mentorem, poczciwym Broniem Dymniczem, tylokrotnie przezemnie opisywanym, przypatrywałem się jego pięknym strzałom, po których każda sztuka jak gruszka, padała.

Upojeni zwycięstwem, wracaliśmy do domu. Adaś bez końca opowiadał rodzicom cały przebieg i najdrobniejsze szczegóły udałej wyprawy myśliwskiej „na gawrony". Przytem uwydatnił niemało zmysłu spostrzegawczego i pewien jestem, że wyrośnie z niego myśliwy „de re et nomine". Ja zaś byłem dumny, że się wobec mego wnuczka nie skompromitowałem.

Zaiste żaden strzał do najpoważniejszego „pojedynka", ba, niedźwiedzia, bodaj nie sprawił mi tyle delicji, jak ten pospolity gawronik w podobnych okolicznościach zdobyty. Jako ptaków, poniekąd pożytecznych, nie zaczepiam ich zwykle nigdy.

Niewiadomem jest, komu i kiedy z nas odejść nazawsze w zaświaty sądzono, nie zamrze jednak z nami przenigdy tajemniczy ten instynkt od przodków odziedziczony. I gdy nas już dawno nie będzie, gdy „dziadzio" już na wieki w „stan spoczynku" po trudach i znojach życia odejdzie — nowe pokolenia nowych myśliwych w ślady nasze iść będą.

Nasze napięcia łowieckie, szczera miłość przyrody, zawsze jednaka ciągłość tego, cośmy tak bardzo ukochali — wieczystemi pozostaną. Oby nastąpiło to jaknajpóźniej, obyśmy jeszcze z tobą, mój Adasiu, nietylko gawrona „upolowali". Tymczasem dzięki ci, mój wnuczku miły, ze wplecioną przez ciebie, tak estetyczną nutę w symfonję myśliwską, w uroczym Zaborówku i Wąsach prześnioną.

ADAM RZEWUSKI.



Leśne jeziorko. Fot. Wł. Korsak

NOWOCZESNE METODY HODOWLI BAŻANTÓW.

Każdy hodowca zwierzyny, o ile tylko pragnie przeistoczyć łowiectwo z mniej lub więcej kosztownej rozrywki w nową gałąź dochodów czerpanych ze swych pól i lasów, pilnie śledzić musi za postępem wiedzy w tej dziedzinie. Zadaniem Instytutu Łowiectwa jest śledzenie za tym postępem i po przeprowadzeniu odpowiednich doświadczeń informowanie ogółu myśliwych o najnowszych zdobyczach wiedzy na tem polu.

Jako kierownik Instytutu, pragnę w artykule niniejszym poinformować ogół myśliwych o najnowszych metodach karmienia bażantów starszych w okresie niesienia jaj, oraz młodych bażantów przy tak zwanych sztucznych lęgach. Sprawa hodowli bażantów była przezemnie szczegółowo opisana w artykule zamieszczonym w „Kalendarzu Myśliwskim" na rok 1931, wydanym przez Polski Związek Stow. Łowieckich, obecnie zatem poprzestaję li tylko na bliższem omówieniu nowych metod samego karmienia, które, jak się okazało po przeprowadzeniu prób, dały wyniki nadzwyczaj dodatnie.

Metoda żywienia, o której mowa, była po raz pierwszy zastosowana przez niejakiego Roberta Holze w Niemczech i obecnie zyskuje coraz więcej zwolenników, czas więc, by i u nas zaniechano systemów, które są kosztowne, sprzeczne z naturą ptaka, a tem samem szkodliwe poniekąd dla jego zdrowia. Mam tu na myśli przedewszystkiem tak zwany fencel — pokarm sporządzany z jajek gotowanych na mleku, który powinniśmy stanowczo usunąć, jako pokarm łatwo ulegający psuciu, zakażaniu bakterjami chorobotwórczemi i nadewszystko jako pokarm sprzeczny z naturą bażanta.

Bażant jest ptakiem w równej mierze roślino-, jak i mięsożernym i to od pierwszego dnia swego życia, — zasadą więc naszą powinno być dostarczanie mu analogicznych pokarmów przy wychowie sztucznym. Poddając bacznej obserwacji bażanty młode, które się wylęgły na wolności, przekonamy się, że żywią się one nasionkami traw, trawami, a ponadto wszelkimi robakami, muszkami, larwami, a nawet — gdy są starsze — myszami. — Szybkie wyrastanie bażanta, jego kości i upierzenie zależne są od ilości witamin zawartych w pokarmach, które im są różnorodniejsze, tem są oczywiście w owe witaminy bogatsze. Przestrzeganie tych zasad jest ważne nietylko przy wychowie młodych bażantów, ale i przy karmieniu bażantów starszych, szczególnie takich, które są przeznaczone do niesienia jaj w woljerach, gdzie bażant z natury rzeczy pozbawiony jest tej różnorodności pokarmów, jakie znajduje, będąc na wolności. Kto zatem chce, by bażanty jego znosiły dużo jajek i by procent jaj zalężonych był jaknajwyższy, ten musi zerwać z dotychczasowym systemem karmienia wyłącznie ziarnem. Bażanty woljerowe, przeznaczone do niesienia jaj, powinny dostawać rano paszę Spratta z dodatkiem 25% mączki mięsnej, a po południu po połowie pszenicę z jęczmieniem i z mielonemi skorupkami od ostryg. Obok tego daje się wodę do picia, zmienianą 2 do 4 razy dziennie, w zależności od pogody oraz temperatury powietrza. Ponadto obowiązkowo dawać należy codziennie świeżą koniczynę lub w ostateczności krwawnik. Dla zwiększenia procentowości jaj zalężonych w połowie sezonu niesienia jaj, koguty w woljerach należy zamienić rezerwowemi, których, jak z tego wynika, należy mieć zawsze dwukrotnie więcej niż woljer.

Co się tyczy karmienia młodych bażantów, to postępować należy z nimi jak następuje:

Przez pierwsze 24 godziny młode bażanciki nie dostają nic do jedzenia. Po 24 godzinach, gdy są podsadzone już pod nasiadkę, która je wylęgła, dostają mieszaninę składającą się z 5 części jajka ugotowanego na twardo i drobno posiekanego, 1 części jajek mrówczych (początkowo możliwie mrówek łąkowych), 4 części Spratta N.O z dodatkiem drobno pokrajanego krwawniku. Spratt musi być przed użyciem dobrze zwilżony wodą, w żadnym jednak wypadku nie do tego stopnia, by się zamienił w kleistą masę. Pokarm



Na kładkach.
Fot. J. W. Krauze. Łódź.

ten, bardzo dobrze pomieszany, dostają bażanciki przez pięć dni, pięć razy dziennie, począwszy od godz. 6 rano, a następnie o 9-ej, 12-ej, 3-ej i o 6-ej wieczorem. Pokarm daje się na deszczułkach drewnianych, które należy po każdem użyciu wymyć obowiązkowo, a samego pokarmu nie należy dawać więcej jak tylko tyle, ile bażanciki zjeść mogą w przeciągu 10 minut. Po każdorazowem jedzeniu daje się wodę świeżą do picia w naczyniach tak płytkich, żeby się młody bażancik nie mógł przypadkowo utopić. Od pierwszego dnia, karmiąc bażanciki, należy je zwoływać za pomocą trąbki myśliwskiej, do której gdy się przyzwyczają, przylatywać będą i w przyszłości, gdy się znajdą na wolności.

Począwszy od drugiego tygodnia do czwartego wprowadza się w karmieniu małą zmianę. Na 4 części Spratta N. O, podobnie jak poprzednio zwilżonego,

bierze się 2 części jajka gotowanego na twardo i drobno posiekanego, 2 części jajek mrówczych, 1 część otrąb pszennych. W miarę wzrostu bażantów porcję należy stopniowo zwiększać, zawsze jednak w tym stopniu, żeby pokarm nie pozostawał niezjedzony i tem samem nie skwaśniał, co dla młodych bażantów jest bardzo szkodliwe. Spratt należy zawsze na godzinę przed karmieniem zwilżyć wodą.

Począwszy od czwartego do 6-go tygodnia, bażanciki karmi się już tylko 4 razy dziennie. W tym czasie daje się na 4 części Spratta, 1 część mączki mięsnej, 2 części jajka gotowanego na twardo, posiekanego, 1 część jajek mrówczych, 1 część pszenicy i 1 kukurydzy drobno śrutowanej.

Od 6-go do 12-go tygodnia karmi się już bażanciki tylko trzy razy dziennie, zaprzestając zupełnie dawania jajek mrówczych i jajka gotowanego. Pokarm składa się w tym czasie z 2 części pszenicy, 1 części mączki mięsnej, 4 części Spratta, 1 części gryki, 1 części śrutowanej kukurydzy i 1 części śruty owsianej. Spratt i mączka mięsna jak zwykle zwilżona, a całość dobrze wymieszana. Od 12-go tygodnia dawać należy dwa razy dziennie 4 części pszenicy, 2 części kukurydzy śrutowanej, 1 część mączki mięsnej, 2 części Spratta i 1 część gryki. Gdy bażanty się wypierzą, daje się w równych częściach pszenicę drobnoziarnistą, kukurydzę i jęczmień.

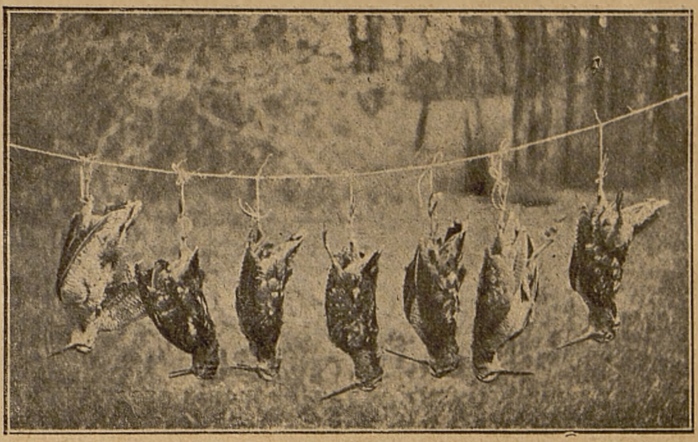
Kto ma w swem łowisku dzikie króliki, ten ma zadanie znacznie ułatwione, gdyż zamiast sprowadzać mączkę mięsną niewiadomej świeżości i pochodzenia, dawać winien mięso królicze, które jest znakomitym środkiem odżywczym nietylko dla ptactwa dzikiego, ale i domowego. Mięso królicze, po ugotowaniu bez żadnych dodatków, t. j. soli i przypraw, miele się po oddzieleniu kości drobno, na maszynce od mięsa. Można też robić zapasy mączki mięsnej, susząc surowe mięso królicze powoli w piecu do pieczenia chleba, a następnie mieląc na specjalnej maszynce lub na tarce.

Hodowla dzikich królików stać się może w tych warunkach poważnem źródłem dochodu, gdyż mączkę mięsną, króliczą moglibyśmy wprost wagonami eksportować zagranicę, a skórki przerabiać u siebie na futerka, które również są wszędzie bardzo poszukiwane, wzbogacając tem samem nasz przemysł białoskórniczy.

Na zakończenie zaznaczyć chcę jeszcze, że pokarmy pochodzenia zwierzęcego są tak niezmiernie ważne dla odżywiania wszelkiego ptactwa, tak dzikiego, jak i domowego, że obok dawania mączki mięsnej powinniśmy troszczyć się o to, by nawet ptactwo będące na wolności, a tembardziej sztucznie chowane, miało ich poddostatkiem. Jako jeden ze skutecznych sposobów przy sztucznym wychowie bażantów i kuropatw, służy obsiewanie poletek specjalnie tylko tatarką i wykoszanie w takich pólkach następnie, gdy tatarka zakwitnie, pasów, na których gromadzi się masa rozmaitych owadów służących jako żer dla bażantów i kuropatw.

Hodowcy, którzy pragnęliby zaopatrzyć się w Spratta i mączkę mięsną, winni niezwłocznie zwrócić się w tej sprawie do Instytutu Łowiectwa w Warszawie, Nowy Świat 35, który dla swoich członków zajmuje się sprowadzaniem preparatów Spratta z zagranicy.

S. KAMOCKI.



Dwa wieczory. Fot. Marja Załęska

O WARTOŚCI BEZDYMNEGO PROCHU POLSKIEGO „SOKÓŁ."

Lato ubiegłego roku pozwoliło nareszcie polskim myśliwym wyrzec się ostatecznie konieczności popierania amunicji zagranicznej, przedewszystkiem prochu bezdymnego, gdyż Państwowa Wytwórnia Prochu i Materjałów Kruszących w Zagożdżonie obdarzyła rynek krajowy wyrobem własnym.

Jest nim proch „Sokół", należący dog atunku prochów bezdymnych, płatkowych, które stanowią roztwór nitrowanego błonnika (cellulozy) w eterze alkoholu, skutkiem czego noszą nazwę prochów żelatynowanych.

Proch płatkowy w porównaniu z bezdymnym (a raczej małodymnym) prochem ziarnistym jest bardziej ścisły, zwarty i mniej czuły na temperaturę oraz zmiany atmosferyczne. Prochem tym można strzelać z mniej cennych i słabiej zbudowanych broni, ponieważ wytwarza on b. równomierne ciśnienie, przy normalnej dawce nieprzekraczające nigdy wysokości grożących niebezpieczeństwem. Zwykłe ciśnienia prochów płatkowych nie dochodzą do 500 atm., wówczas gdy prochy ziarniste osiągają 690 atm.

Jednak prochy te posiadają i ujemną stronę objawiającą się ciężkim do czyszczenia luf osadem i skłonnością do wywoływania rdzy, a także i przedewszystkiem trudnością zapalania.

Być może, iż dzięki tej ostatniej, ujemnej stronie prochu płatkowego, jakim jest i „Sokół", wielu myśliwych mogło mieć uzasadnione pozornie żale do przyczyn niepowodzenia powstającego, nie dzięki ujemnej stronie samego prochu, lecz nieodpowiednim spłonkom powodującym zaciąganie się strzałów, graniczące niekiedy z niewypałem.

Jak wiadomo, do najlepszych należą naboje fabryczne, ponieważ tam, w fabrykach, fachowcy starają się przystosowywać odpowiednie części składowe do jakości tych składników, a więc: gilzy, spłonki, przybitki używają się indywidualnie; do każdego kalibru broni, gatunku gilz, siły prochu etc. etc. stosują rozmaite kombinacje, starając się osiągnąć najlepsze wyniki praktyczne.

W domowej roboty ładunkach często nieodpowiednie, słabe dociśnienie przybitki powoduje zaciąganie się strzału, gdyż, im więcej jest luzu pomiędzy przybitką a powierzchnią prochu, tem wolniej odbywa się proces spalania.

Siła płomienia zapalającego, posiadając wielki wpływ na czas spalania się prochu, jest w stosunku wprost proporcjonalnym do czasu wytwarzania się gazów. Nie oznacza to, aby można było stosować jaknajsilniejszy zapłon do danego gatunku prochu, gdyż nadmierna siła ognia sprowadzić może detonację przez gwałtowne tworzenie się gazów. Zresztą detonacja może być wywołana skutkiem innych przyczyn, jak np. użycie prochu przeznaczonego dla broni gładkich — do gwintowanych lub przez nadmierne sprasowanie przyciśnięciem przybitki.

Rzecz prosta, że te wszystkie przyczyny niepowodzeń myśliwskich nie są bliżej znane szerszemu ogółowi, który z tych czy innych względów nie kupuje gotowej amunicji, lecz wyrabia ją sam według pobieżnej b. recepty przekazywanej najczęściej synom przez ojców, bez uwzględnienia zmian zaszłych w fabrykacji prochu, broni i t. p.

Ścisłość czyli zwartość wyrażająca się u prochów płatkowych mniej więcej cyfrą 1,60 i będąca wagowym stosunkiem prochu do wody (w jednakowej objętości), a wpływająca na odporność prochu przy zmianach temperatury, wilgotności, ciśnienia atmosferycznego, które to czynniki w naszym klimacie wywołują duże różnice strzałów, wszystko to razem sprowadza znaczne trudności przy wykonaniu precyzyjnych naboi.

Jak stąd widać, narzekania pp. myśliwych na wartości prochów nie zawsze są uzasadnione, gdyż nie uwzględniają oni wszystkich przyczyn obniżających jakość strzału.

Temperatura towarzysząca spalaniu się prochu w lufie, posiada duży wpływ na konserwację broni, i wówczas, gdy przy prochach pyroksylinowych czyli ziarnistych osiąga 3000° C, — w prochach żelatynowanych nie przekracza zazwyczaj 2300°C.

Dla wyżej przytoczonych względów należy uznać prochy żelatynowane jako lepsze i prawdopodobnie, w przyszłości, rugujące prochy ziarniste.

Szybkość śrutu lub kuli, mająca zasadnicze znaczenie (przy prochach ziarnistych większa) została jednak uznana zarówno przez stacje doświadczalne belgijską, jak i niemieckie, za wystarczającą dla celów myśliwskich przy 375 metrach mierzonych u wylotu.

Z powyższych przyczyn i dążeń techniki widzimy, że wytwórnia zagożdżońska trafnie wybrała gatunek będący w tej chwili jedynym produktem krajowym tego rodzaju.

Optycznie proch „Sokół" jest b. podobny do „Rotweilera", nieco tylko jaśniejszy, a skutkiem mocniejszego zżelatynowania, co czyni go bardziej odpornym na wpływy atmosferyczne, posiada powierzchnię bardziej gładką i dlatego trudniej się zapala.

Belgijski Urząd Probierczy (Banc d'Epreuves des Armes à Feu à Liége) zanotował 10 lipca 1930 r. następujące wyniki doświadczeń przeprowadzonych z prochem B. 1/30 nadesłanym przez Państwową Wytwórnię Prochu i Materjałów Kruszących w Zagożdżonie, prochem, który następnie otrzymał nazwę „Sokół".

Do prób użyto strzelby kal. 12 wagi 3,175 kg, długość luf 75 cm. komory 65 m/m, borowanie 18, 5 — 17,6 i 18,3 — 17,3 m/m.

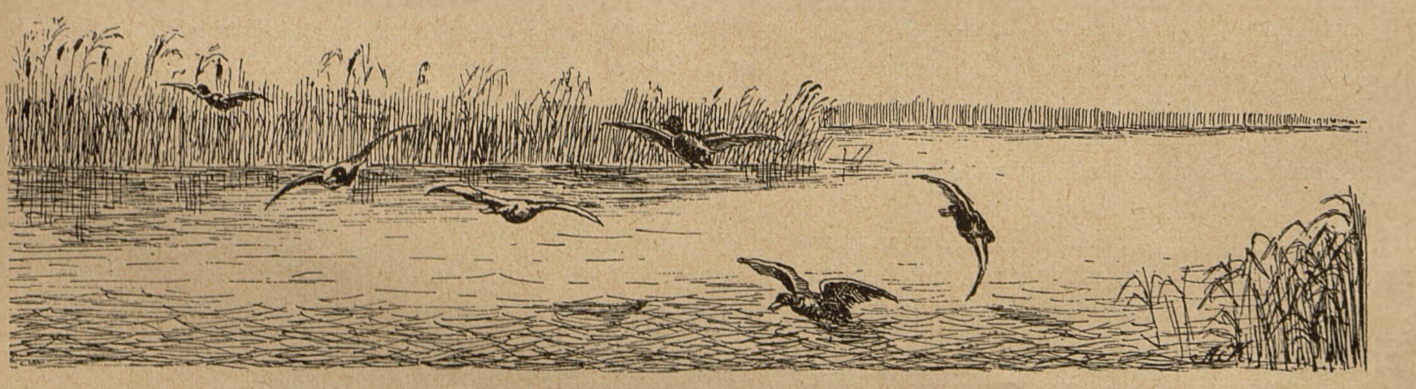
W Banc d'Epreuves ładowano naboje do gilz „Warszawska Spółka Myśliwska" z napisem: „kapiszon syst. Gevelot" i literami W. S. M. W. tłoczonemi na spłonce.

Na proch wsypany w ilości 2,25 gr. położono jedną zwykłą, tekturową przybitkę, następnie 13 m/m wysokości przetłuszczoną przybitkę wojłokową, oklejoną z obu końców papierem smołowanym (goudronné) Nr. 71 i na to znowu zwykłą, tekturową, na którą wsypano śrut o średnicy 2,6 m/m w ilości 32 gr., a gilza została przykręcona o 5 m/m czyli wysokość naboju wynosiła 60 m/m.

Przy 10 strzałach zanotowano następujące ciśnienia mierzone w kg./cm.^{2}: 333, 306, 342, 400, 377, 287, 323, 377, 350, 405, a zatem średnio 350 kg/cm^2 przy odchyleniach in plus 45, — in minus 63.

Szybkości mierzone przy dziesiątym metrze wynosiły: 326,5 — 323,7 — 322,3 — 321,0 — 327,0 — 323,5 — 328,1 — 319,0 — 332,6 — 324,8, co daje przeciętnie 324,9 z odchyleniami plus 7,7 i minus 5,9.

Następnie, przy temperaturze otaczającego powietrza plus 22°C. ciśnieniu atm. 745 m/m i wilgot-



ności 96%, dwudziestoma nabojami zostało przeprowadzone doświadczenie wykazujące metodą mierzenia różnicy czasów na przebiegu 30 i 40 mtr. szybkość przy 35 metrze od wylotu równą 231 mtr.

Dla zbadania gęstości i równomierności pokrycia wystrzelono 10 naboi, zawierających po 304 sztuki śrucin Nr. 6 do tarcz o średnicy 25 i 75 cm. z odległości 35 mtr.

W tarczy 25 cm. znaleziono śrucin: 47, 35, 38, 64, 54, 42, 38, 30, 39 i 56, a zatem średnio 44. W tarczy zaś 75 cm.: — 229, 224, 227, 250, 236, 233, 202, 217, 220, 236, co daje przeciętną 227 sztuk i procentowo wyraża się cyfrą 74,7%.

Do zbadania penetracji użyto w tych samych warunkach kartek tekturowych o wymiarach 22 x 22 cm. i grubości 1 m/m ustawionych jedna za drugą w odległości 1 cm.

Z trzech seryj po trzy naboje, trzy przebiły 13 kartek z odległości 35 mtr. więcej niż dziewięcioma śrucinami.

Dla kalibru 16 o borowaniu 15,7 — 16,7 oraz przy ilości 266 śrucin w naboju, cyfry te przedstawia doświadczalnia belgijska następująco: pokrycie w tarczy 25 cm.: 33, 46, 33, 30, 30, 28, 29, 33, 47, — w tarczy 75 cm. 183, 188, 188, 198, 188, 183, 181, 205, 193 i 200. Zatem przeciętne tych prób wykazują: 35 i 191.

Procentowe pokrycie wynosi 71,8%. Szybkość na 35 metrze, dla kalibru 16 spada do 209,9 metra. Penetracja zdobywa 12 tekturek.

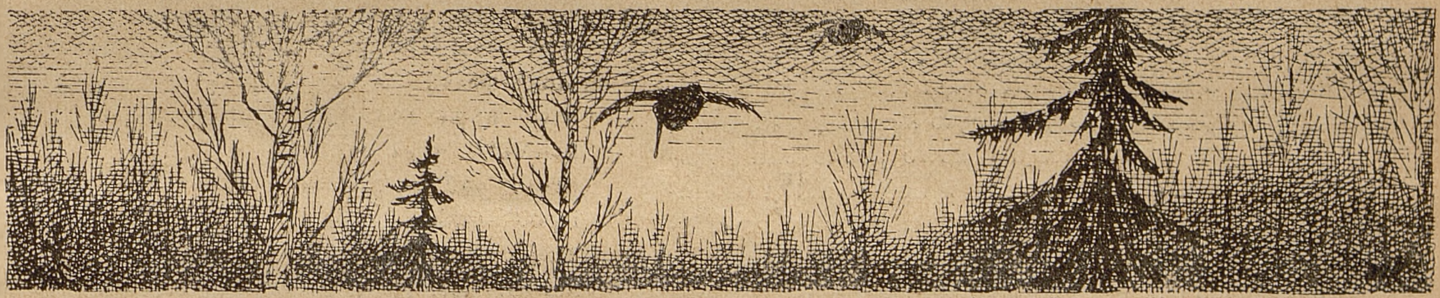
Pozatem Banc d'Epreuves wyraża swoje obserwacje dotyczące normalnego i regularnego ciśnienia, dużej, bez znacznych odchyleń szybkości końcowej, b. zwartego pokrycia i silnej dla śrutu Nr. 6 penetracji, kończąc swoje wywody określeniem prochu „Sokół" jako doskonałej amunicji do pola i standu („excellente munition pour la chasse et le tir aux pigeons").

Po za temi doświadczeniami dostatecznie ilustrującemi jakość „Sokoła", P. W. P. nie poprzestaje na osiągniętych sukcesach i nie zaniedbuje prób czynionych we własnym zakresie przed wypuszczeniem każdej partji prochu na rynek.

Na specjalnej aparaturze „Le Boulenge", Komisja fachowców niezależna od Wydziału Produkcji, przeprowadza pomiary szybkości, na innym znów przyrządzie są mierzone ciśnienia, siła odrzutu i t. p. Stałość czyli niezmienność własności chemicznych i balistycznych gwarantująca bezpieczeństwo i jednakowe działanie prochu na okres kilkunastu lat, również jest badana na próbkach pozostawionych w tym celu z każdej wypuszczonej partji.

JERZY DYLEWSKI.

Siedlce.



WRAŻENIA I REFLEKSJE Z ODWIEDZIN ŻÓŁTEJ KARCZMY.

Dnia 25/I w niedzielę odbył się na terenie noszącym nazwę Żółtej Karczmy w Służewie, tuż za rogatką Mokotowską w lokalu dzierżawionym przez Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich, pierwszy w tym roku pokaz tresury wyżła.

Zebranie członków Towarzystwa oraz gości przybyłych zagaił p. mecenas W. Garczyński, poczem p. Dr. Bielawski kierował pokazem tresury. Wielką zasługą inicjatorów i gospodarzy Towarzystwa jest stworzenie ośrodka hodowli psa myśliwskiego. Treść przemówień i pokaz były nacechowane głębokiem ujęciem tej, tak ważnej i miłej dla każdego myśliwego sprawy, której celem głównym jest osiągnięcie w Polsce drogą hodowli, tresury i prób, najwyższego i najodpowiedniejszego typu psa myśliwskiego.

Oprócz ważnego dla myśliwych celu tej myśli przewodniej, wyjątkowo miły styl, jaki wnoszą w zebranie panowie należący do zarządu Towarzystwa, budzi prócz szczerego uznania dla podjętej pracy— dużo serdecznej sympatji. Wśród psów pensjonarzy Żółtej Karczmy spotykamy wyżły rozmaitego typu, między nimi widzimy psy importowane.

Nie ulega wątpliwości, że bardzo ważną rzeczą jest import wysokowartościowych psów myśliwskich z zagranicy, jednak nie jest wykluczona możebność stwierdzenia faktu, że czasami mamy wśród szczeniąt importowanych psy gorsze od naszych krajowych i że wśród naszych krajowych wyżłów możnaby znaleźć pojedyńcze okazy, zaletami swemi przewyższające to, co zagranica na eksport nam zaofiarowuje.

Niejeden ze starych myśliwych, cofając się myślami do wspomnień wstecz, wspomina jakiegoś swego niezrównanej wartości psa, który zginął, nie zostawiwszy po sobie godnego siebie potomstwa, i wtedy mamy to przeświadczenie, że coś się nam bezpowrotnie zmarnowało Dziś wobec istnienia Tow. Hod. Psów Myśliwskich takie bezpowrotne zmarnowanie się wybitnych jednostek psiego rodu nie powinno się zdarzyć, gdyż każdy myśliwy mający wybitnej wartości użytkowej psa, ma możność przedsta-



Wykład w „Żółtej Karczmie". Fot. K. Czampe.

wienia go Towarzystwu Hodowli i przyczynienia się do podniesienia materjału hodowlanego w kraju,— na czem sam dobrze wyjdzie, bo gdy mu pies kiedyś zginie lub zestarzeje się, wtedy odnaleźć go będzie mógł w jego psiem potomstwie. Łatwiej jest myśliwemu o wyśmienitą broń niż o dobrego psa.

Powyższe refleksje nasuwają mi się na myśl na skutek wspomnień własnych. Od wielu lat poszukuję wyżła, któryby zabitą kuropatwę ukrytą w seradeli zwietrzył z odległości 20 kroków; tego typu wyżły, angielskie pointry spotykać było można przed wojną w okolicach Łęczny, skąd rodowo pochodziła i moja wyżlica Basta. W tym roku w końcu marca odwiedzając Żółtą Karczmę, ujrzałem szczenię-suczkę bardzo mi przypominającą typ moich psów z czasów przedwojennych, — była to mała Lady p. Hermana Knothego.

W sprawie badań, czy pies jest obdarzony od natury dobrym węchem, zgadzam się najzupełniej z panem K. Zarubinem, autorem Podręcznika Tresury Psa Myśliwskiego, który pisze: „Szczenię, które w 6 miesiącu życia czuje nosem świeży chleb na odległość 20 — 25 kroków, obiecuje stać się w przyszłości psem z doskonałym węchem, i takiem szczenięciem nie zajmować się byłoby grzechem. W przyszłości przez praktykę węch rozwija się coraz więcej".

Zwracam dużą uwagę przy próbie węchu, aby nie popełnić błędu fałszywej oceny, który bardzo łatwo popełnić mogę, próbując psa na polowaniu na kuropatwy.

Większość pointrów angielskich, które dziś spotykam, to nie są psy dawnego typu. — Dzisiaj spotykane psy są większe, a inteligencja ich bardzo duża, lecz węch dużo słabszy, za to słuch świetny i usposobienie bardzo tchórzliwe. Psy dawniej spotykane były znacznie mniejsze, miały świetny, górny wiatr, — w stosunku do innych psów bardzo cięte, odważne i szalenie zręczne. W budowie swej miały szczegół nadający im ogromną wytrzymałość i pomimo średniego wzrostu silnie rozwinięte lędźwie i cała okolica nerek nacechowana silnem związaniem.

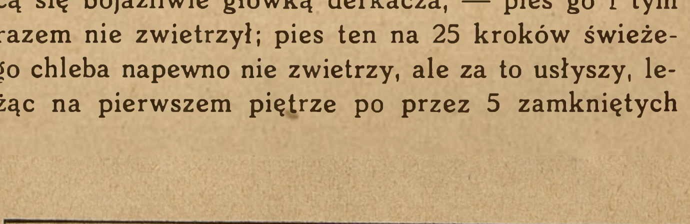
Wśród psów Żółtej Karczmy najbardziej zbliżonymi okazami do tych cennych, dawnych wyżłów angielskich są Lady inż. H. Knothego; Rap mecenasa W. Garczyńskiego i jeden z młodych importów od p. W. Marra.

Konkursowe próby polowe wymagają od psa dużej inteligencji, a zwierzyną są zwykle kuropatwy.

Opiszę Panom Czytelnikom „Łowca Polskiego" obrazek pewnej pomyłki w ocenie węchu, którą następne popisy psa uwidoczniły: pies o pięknych linjach, rosły, uszy wspaniałe, puszczony w pole, wpada w upajający trans polowania; indywidualność jego zdaje się, wchłania życie pól! Nagle doleciał go znany mu sygnał na baczność, który daje kogut kuropatwiego stada! Momentalnie pies zelektryzowany zmienia kierunek, idzie za głosem „kru", który przez koguta wyprowadzającego piechotą cieknące stadko, zostaje powtórzony; wreszcie pies doszedł już do świeżych śladów, idzie wolniej, ostrożniej, stadko przywarowuje i pies staje. Odległość miejsca, gdzie pies stanął od miejsca, gdzie raptownie skręcił, 80 kroków— a przeto oceniamy, że pies ten ma wiatr wprost fenomenalny.

Pada strzał, a z nim runęła w bruzdę kartoflaną zbarczona kuropatwa. Po strzale pies przywarował; jesteśmy zachwyceni, — właściciel psa promienieje z radości, wreszcie każą psu kuropatwę przyaportować, ale kuropatwy niema, znikła, nie pozostawiwszy żadnego śladu dla tego „świetnego nosa na 80 kroków".

Jesteśmy tem nieco zakłopotani, gdyż niemiło jest pozostawiać pokaleczonego ptaka jego smutnemu losowi; wtem z pobliskiej łąki zerwał się derkacz wypchnięty przez kundysa, który pasie z pastuchem krowę nad łąką; derkacz przesiadł się o 100 kroków i pod krzakiem wikliny łąkowej zapadł; idziemy tam z naszym wyżłem „o świetnym nosie", pokazujemy mu miejsce, gdzie derkacz zapadł, pies ten już dawniej ubite derkacze aportował, lecz tym razem nic zwietrzyć nie może; derkacz poszedł na piechotę; zawołałem psa do nogi, przeszedłem około 40 kroków i w odległości 10 kroków widzę z trawy wychylającą się bojaźliwie główką derkacza, — pies go i tym razem nie zwietrzył; pies ten na 25 kroków świeżego chleba napewno nie zwietrzy, ale za to usłyszy, leżąc na pierwszem piętrze po przez 5 zamkniętych



Po pokazie w „Żółtej Karczmie". Fot. K. Czampe.

drzwi, że do przedpokoju wszedł jego pan, i zacznie skomleć i do drzwi się dobijać, aby go najserdeczniej przywitać. Jest to typ wyżła o świetnym słuchu, świetnej inteligencji, a słabym wietrze; odpowiedni do polowania na dokarmiane w parku bażanty; na bekasy niema poco go brać, lepiej samemu wydeptywać, bo się bliżej podrywają.

Powyżej opisane doświadczenia moje, które często w rozmaity sposób obserwowałem, skłaniają mnie do próby węchu z absolutnem wykluczeniem możebności wrażeń słuchowych lub wzrokowych — i twierdzę z zupełną pewnością, że wyżeł, który z odległości 20 kroków przy pogodzie bez silnego wiatru lub w zamkniętem podwórzu zwietrzy zabitą kuropatwę, ten napewno odnajdzie zbarczoną kuropatwę i derkaczowi nie pozwoli umknąć na piechotę. Jedynym łatwym sposobem badania węchu wyżła jest sposób Oberlaendera, — próba polega na tem: pan idzie na polowanie, psa zostawia w domu — po pewnym czasię ktoś z domowników wypuszcza psa.



Przywitanie w „Żółtej Karczmie". Dr. Z. Zakrzewski z „Dropem".
Fot. Tad. Czampe.

Wyśmienitego węchu suka moja Basta wypuszczona po godzinie, odnajdowała mnie, idąc za śladem w lesie oddalonym o 5 kilometrów od domu.

Świetnie wystawiała zające. Stary, głuchy As wystawiał bekasy na 15 — 20 kroków z łatwością; był wzrostu Lady inż. H. Knothego. Do psów o takim węchu chciałbym znów dojść. Z ogromną radością otrzymałem śliczny dar od ks. Jerzego Lubomirskiego z Rozwadowa w postaci małej wyżlicy Ledy, siostry z jednego miotu ślicznej Lady inż. H. Knothego Cieszyłem się i cieszę tembardziej, że Leda przypomina mi bardzo Bastę, którą miałem przed wojną.

Zgadzam się najzupełniej z opinją sędziów ostatnich prób polowych, że pierwszą troską hodowli powinna być jaknajostrzejsza selekcja dla osiągnięcia znakomitego wiatru górnego, gdyż łatwiej o psa dobrze ułożonego i bardzo mądrego niż o świetny wiatr u psa.

Do czynników wielkiego znaczenia dla hodowli zaliczyć należy ogłaszanie w „Łowcu Polskim" wyników prób polowych wyżłów, — opis prób nacechowany jest umiejętnością obserwacji i ujęty w formę nader interesująca; w tej formie, jak dotychczas ujęte sprawozdanie zaznajamia hodowców z wynikami usiłowań pionierów hodowli wyżła.

Miałem raz jednak sposobność czytania pewnego sprawozdania z prób wyżłów dowodnych przeważnie rasy niemieckiej; ze sprawozdania tego dowiedziałem się o gościnności starego dworu, o uwadze należnej wyższym urzędnikom państwowym, o stanowiskach socjalnych zebranych gości, a o psach? cóż? Psom pozostawiono szpaltę cyfr, które mają czytelnika pouczyć o ocenie pracy psów, ale za jakie zasługi i wyczyny pies dany stopień otrzymał, o tem ani słowa. Inaczej zupełnie jest w stolicy; tu sprawozdanie o psach — psy ma na względzie, a opis barwny tchnie życiem i daje możność w wyczynach psów poznania uwypuklanych w sprawozdaniach, indywidualnych walorów poszczególnych psów. Słowem, stolica ma swój styl i swój urok.

Inż. B. RUDNICKI.

LISTY DO REDAKCJI.

O ŻUBRY.

Red. „Łowca Polskiego" otrzymała następujące pismo:

Sekretarjat Zarządu Głównego Ligi Ochrony Przyrody w Polsce ma zaszczyt przesłać do wiadomości odpis protestu Ligi w sprawie karygodnego zabicia dwu żubrów w Pszczynie, z uprzejmą prośbą o łaskawe zamieszczenie treści protestu w „Łowcu Polskim".

PROTEST.

Na wiadomość o zabiciu dwu żubrów przez margr. Al. Wielopolskiego w dobrach hr. Jana Hochberga w Pszczynie, Zarząd Główny Ligi Ochrony Przyrody w Polsce w imieniu wszystkich swoich członków oraz kilkudziesięciu tysięcy członków Stowarzyszeń Związkowych Ligi zakłada najenergiczniejszy protest przeciw podobnej samowoli. Zabicie dwu zwierząt z liczby kilkudziesięciu wogóle istniejących na kuli ziemskiej i chronionych przez wszystkie narody cywilizowane, jest karygodnym czynem, dla którego trudno znaleźć odpowiednią nazwę.

Zarząd Główny Ligi Ochrony Przyrody w Polsce, podnosząc niedostateczność przepisów prawnych ochrony żubra w Polsce i potrzebę uzupełnienia istniejących braków w tej dziedzinie, apeluje do Władz Państwowych o wydanie doraźnych zarządzeń, któreby położyły kres czynom dyskredytującym Rzeczpospolitą Polską wobec całego świata kulturalnego, oraz prosi o przyśpieszenie sprawy wydania „Ustawy o ochronie przyrody", która została opracowana przez koła miarodajne i czeka na ostateczne zatwierdzenie.

Prezes Zarządu Głównego
Ligi Ochrony Przyrody w Polsce
Prof. Dr. B. HRYNIEWIECKI

Sekretarz Zarządu Głównego
Ligi Ochrony Przyrody w Polsce
W. ROMANOW

OBRĄCZKOWANA CZAPLA.

Powołując się na pismo Redakcji w powyższej sprawie, Konsulat Rzeczp. Polskiej w Budapeszcie zawiadamia, że nadesłaną mu obrączkę miedzianą przesłał węgierskiemu Instytutowi Ornitologicznemu (Magyar királyi Madártani Intézet, Budapeszt II Herman Ottó-ut 15), który składając Redakcji swe podziękowanie, komunikuje, że zaopatrzony obrączką Nr. 53874 ptak jest czaplą siwą (Ardea cinerea L.) wylęgu 1930 r., która otrzymała obrączkę dnia 25.V 1930 r. w gnieździe w czaplarni leśnej w majątku barona Fryderyka Waldbotta Sátoraljaujhely (komitat Zemplén). Obrączkę nałożył król. węg. ornitolog Koloman Warga.

DR. P. A. STRAKOSZ.
Konsul R. P.

Z MAŁOPOLSKIEGO TOW. ŁOW.

Projektowane odroczenie dorocznego zjazdu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego do terminu strzelania narodowego, nie dojdzie do skutku, ponieważ strzelanie to w roku bieżącym nie odbędzie się wcale; międzynarodowe zaś zawody strzeleckie we Lwowie odbędą się w sierpniu. Zjazd wobec tego odbędzie się w zwykłym terminie czerwcowym.

— **Dział łowiecki.** — Na tegorocznej wystawie rolniczej w Tarnopolu urządzony będzie specjalny dział łowiecki, nad którym opiekę objął delegat na powiat Brzeżański, p. Józef Scholz. W tym celu powstała sekcja leśna i łowiecka, której prezesem został Jerzy hr. Potocki z Pomorzan, wiceprezesem p. Bolesław Czurak z Raja, a kierownikiem inż. Marek.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Teofil Odrowąż Wysocki, długoletni członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, delegat na powiat Oświęcimski, zmarł w swym majątku Polance Wielkiej, przeżywszy lat 60.

Cześć Jego pamięci!

Kronika myśliwska.

—k— Z polowań na Wileńszczyźnie.

W dobrach Kozłowszczyzna, powiatu Postawskiego, własność majora Tadeusza Dziewickiego, w sezonie 1930-31 r. na specjalnie urządzanych polowaniach z obławą — padło ogółem 6 wilków i 1 ryś. Z tych 3 wilki zabił p. Stefan Kucharski, 2 wilki i rysia leśniczy Rzeczycki, oraz 1 wilka p. Włodzimierz Łysiński z lubelskiego.

Zwierzostan w dobrach Kozłowszczyzna w stosunku do lat poprzednich, poprawił się znacznie, dzięki troskliwej opiece oraz sprężystej organizacji administratora dóbr, p. Stefana Kucharskiego, zamiłowanego hodowcy-myśliwego. Bardzo pokaźna ilość głuszców, masa cietrzewi, dobry, jak na miejscowe warunki, stan szaraków i bielaków, sporo jarząbków.

Obławy na wilki, chociaż w kilka tylko strzelb zwykle robione, udają się świetnie, dzięki doskonałemu wyszkoleniu straży leśnej. Śmiało można powiedzieć, że każdy otropiony wilk musi tu wyjść na strzał niezawodnie. Nadmienię, że w ciągu szeregu lat poprzednich nie zabito w Kozłowszczyźnie ani jednego wilka.

—jk— W dniach 23, 24 i 25 lutego b. r. odbyło się polowanie na dziki w lasach czerniejewskich ordynata Zygm. hr. Skórzewskiego. Na polowaniu byli obecni: arcyksiążę Karol Habsburg z Żywca, ks. Janusz Radziwiłł, ks. Hieronim Radziwiłł, ks. Olgierd Czartoryski, ks. Roman Czartoryski, b. wojewodzina hr. Bnińska, hr. Konstanty Bniński, hr. Starzeński, hr. Mycielski sen., hr. Mycielski jun., płk. Morawski i hr. Szołdrski. Ogółem padło 30 dzików, w tem kilka bardzo ładnych okazów.

—o— W Łukawicy, powiecie Stryjskim u pp. Barańskich padło w roku zeszłym na polowaniach: 10 dzików, 3 rogacze, 265 zajęcy, 215 kaczek pędzonych, 79 kszyków pędz. i 6 jarząbków, czyli razem 578 sztuk zwierzyny użytecznej.

Pozatem ubito: 2 wilki, 27 lisów, 261 psów, 312 kotów, 32 łasice, 6 borsuków, 5 orłów przednich, 40 gołębiarzy, 630 wron, 389 srok, 119 czapel, 12 kruków, 4 puhacze, 18 sów i 305 różnych. Razem 2,162 sztuki.

Pod Kętami wojew. Krakowskiego, na terenach dzierżawionych przez pp. Thena i Zajączka d. 17 listopada w lesie ubito 40 zajęcy i 2 lisy, a d. 23 grudnia na polach — 53 zające.

D. 10 stycznia w Nowej Wsi pow. Bialskim wojew. Krakowskiego, u d-ra Chrzanowskiego ubito 50 zajęcy.

—o— D. 23 listopada w nadleśnictwie państwowem Rękacińskiem na polowaniu Wileńskiego Tow. Myśl. ubito 20 zajęcy i 2 lisy.

D. 10 stycznia w leśnictwie Starodworskiem pow. Postawskiego ubito 3 rysie, 7 bielaków i 2 jarząbki. Uczestniczyli pp. J. Dłużniewski, St. Erdman, W. Jędryński, K. Korkozowicz, K. Mackiewicz, W. Niedźwiecki, St. Nestorowicz, E. Okuszko, P. Pawłowicz, A. Suchrzewski, J. hr. Tyszkiewicz i B. Wańkowicz.

D. 14 stycznia w Uźle Wielkiej p. Wacława Lossowskiego na Wileńszczyźnie zabito 2 wilczyce.

W końcu grudnia w majątku Dworak — Szczokowszczyzna p. Leona Borowskiego na Wileńszczyźnie ubito 3 wilki i 4 lisy, a w sąsiednim Łukawcu: 2 wilki, 3 lisy, 19 szaraków, bielaka i 4 jarząbki.

D. 1 listopada w lasach Krycewicz, pow. Brasławskiego ubito 13 zajęcy. Uczestniczyli pp. mjr. J. Dąbrowski (4 szt.), Wyganowski, Zakrzewski J. Drozdowski i Wasilewski.

—o— D. 2 listopada w Aleksandrowie gm. Drujskiej na Wileńszczyźnie ubito 20 zajęcy.

D. 12 listopada w Konstantynowie p. Zygmunta Guze (tamże) ubito 8 zajęcy, d. 7 i 14 grudnia — po 4 zające, zaś d. 4 stycznia — 3.

D. 4 grudnia w Międzyrzeczu pow. Brasławskiego ubito 11 zajęcy.

D. 5 grudnia w Krycewiczach pow. Brasławskiego ubito 12 zajęcy, z czego mjr. J. Dąbrowski — 5. D. 13 stycznia — 5 zajęcy i cietrzewia.

D. 27 grudnia w Assanowiczach p. K. Drozdowicza w pow. Dziśnieńskim ubito 6 zajęcy i lisa, z czego p. J. Drozdowicz ubił 3 zające i lisa.

D. 11 i 12 grudnia w Podolszczyźnie p. Szyrynowej na Wileńszczyźnie ubito 17 zajęcy.

—o— Pod Święcianami na Wileńszczyźnie d. 6 stycznia na polowaniu Pow. Tow. Łow. ubito 15 za-

jęcy, a d. 11 stycznia wilka, cietrzewia, bielaka i 4 szaraki. Prowadził leśniczy W. Rogalewicz.

D. 15 stycznia tamże ubito wilczycę wagi 54 kg i długości 143 cm. W dwa dni potem ubito jeszcze jednego wilka.

D. 7 grudnia w lasach państwowych koło Podbrodzia pod Święcianami ubito 30 zajęcy.

W ordynacji Rosi Adama hr. Branickiego d. 5 listopada na 130 ha lasu padły 42 zające. Strzałów dano 144. Prowadził p. Kreutzer.

D. 10 listopada tamże na 100 ha lasu i 100 ha pola ubito 35 zajęcy i 2 lisy; strzałów dano 115. Prowadził p. Skrzetowski.

D. 15 listopada tamże na 100 ha lasu i 100 ha pola ubito 25 zajęcy i lisa; strzałów — 105. Prow. p. Kreutzer.

—l— Z pow. Sokołowskiego.

W dniu 20 grudnia z. r. odbyło się małe polowanie przedświąteczne u p. posła F. Grzymały w Czortkach.

W 5 strzelb w paru miotach padło 25 zajęcy. Najwięcej na rozkładzie miał p. W. Lipiński — 8 sztuk.

W dniu 22 grudnia z. r. w majątku Grodzisk u p. J. Żółkowskiego odbyło się polowanie, na którem w 7 strzelb zabito 36 zajęcy. Królował p. K. Bujalski.

W dniu 9 stycznia b. r. odbyło się polowanie u p. St. Lipińskiego w Ostrówku. Po 3 godzinach polowania w 5 strzelb zabito 38 zajęcy, z czego najwięcej miał na rozkładzie p. K. Bujalski — 14 sztuk.

W dniu 12 stycznia b. r. w majątku Jabłonna u p. K. Bujalskiego odbyło się polowanie, na którem w 11 strzelb zabito 78 zajęcy. Polowanie bardzo energicznie prowadził sam gospodarz. Pogoda ładna. Najwięcej na rozkładzie mieli p. Wacław Lipiński — 14 szt. i p. Kama Moczulska — 11 szt.

Wiadomości bieżące.

— **Sejm o ochronie zwierzyny.** — Na plenarnem posiedzeniu Sejmu w dniu 20 marca pani pos. Wolska referowała sprawozdanie komisji oświatowej z wniosku wzywającego Rząd do opracowania ustawy o ochronie przyrody, której to ochronie podlegać mają także znikające gatunki zwierzyny.

P. referentka zwróciła uwagę na to, że jeszcze przed wojną ustawodawstwo wielu państw poszło w tym kierunku, a mianowicie Francja, Szwecja, Norwegja, Szwajcarja i pomniejsze państwa należące do Rzeszy niemieckiej. Po wojnie to samo uczyniły Danja, Finlandja, Włochy, Rosja sowiecka i Rumunja. W Polsce znajdujemy ślady tego już w ustawodawstwie przedrozbiorowem za czasów Jagiełły.

Mówczyni zaznaczyła między innemi: „W ostatnich tygodniach zastrzelono dwa żubry".

Ustawa jest potrzebna ze względu na prestige kultury polskiej zagranicą i ze względu na trudności na terenie międzynarodowym.

Po przemówieniu posła Czapińskiego, który również opowiedział się za koniecznością tego rodzaju ustawy, Sejm przyjął wniosek komisji.

— **Protest z powodu ubicia żubrów.** — Na walnem zebraniu Towarzystwa opieki nad zwierzętami, odbytem w Poznaniu pod przewodnictwem prezesa, płk. rez. Konstantego Chłapowskiego, uchwalono przyłączyć się do protestów z powodu ubicia w lasach pszczyńskich, dwóch żubrów. Protest wysłany zostanie do Towarzystwa ochrony żubra.

— **Przeciw kradzieżom psów.** — Towarzystwo opieki nad zwierzętami w Poznaniu postanowiło wystosować pismo do prezydenta miasta, aby funkcjonarjusze obławy na psy nosili nazewnątrz swe znaczki służbowe w myśl § 100 Zbioru Statutów Miejskich. Wniosek swój motywuje Towarzystwo tem, że w ostatnich dniach giną masowo psy w Poznaniu i okoliczność nienoszenia widocznych znaczków — wykorzystują różni niepowołani do tego ludzie i podszywając się pod miano funkcjonarjuszy „Obławy na psy", kradną je.

— **Wypychanie zwierząt.** — Znamienny artykuł wydrukował p. A. Geilke z Łodzi w "Świecie Zwierzęcym". Artykuł ten pośrednio uznaje, że ubicie zwierzęcia na polowaniu jest stosunkowo najłagodniejszą formą pozbawienia życia. Niektórzy bowiem handlarze stosują najrozmaitsze środki, które całkowicie odpowiadają wiwisekcji. Ptaki zamarza się głodem; ssaki zatruwa się lub w inny sposób zamęcza na śmierć. „Szczęściem było dla zwierzęcia, jeżeli padło od dobrze wymierzonego strzału".

Pewien wypychacz w Łodzi miał w małym pokoju około 200 — 300 małych i większych, wypchanych ptaków, oraz małych ssaków. Na zadawane mu pytania objaśnił, że wszystkie te zwierzęta musiały zostać uśmiercone w specjalny sposób, ażeby ciało ich nie zostało naruszone i objekt nie stracił na wartości. Pewien świadek zeznał, że jedna ze znajdujących się tam, wypchanych sów zabita została przez nakłucia mózgu szpilką. Nieszczęśliwy ten ptak konał w nieopisanych męczarniach cały dzień. Wreszcie zamarł i został kunsztownie, „pięknie" wypchany. Cena takiej zamordowanej sowy wynosi 6 zł.

— **Niedźwiedzie w Karpatach.** — Na wniosek d-ra J. Rosienkiewicza, Małopolskie Towarzystwo Łowieckie zwróciło się do zarządów lasów w Karpatach wschodnich, z prośbą o nadesłanie danych statystycznych, dotyczących stanu niedźwiedzi tamże.

— **Z ogrodów zoologicznych.** — Wprowadzone w ogrodzie zoologicznym w Warszawie zimowanie zwierząt na świeżem powietrzu, dało świetne rezultaty. Całą zimę nie opuszczały otwartej przestrzeni małpy i żórawie.

Ustalono płeć nowonarodzonych niedźwiadków, pum i dingo. Niedźwiadki to para — samiec i samica, pumy — dwie samice, a dingo — dwie samice.

W Wilnie istnieje już zaczątek zwierzyńca mieszczącego się przy t. zw. „Pracowni Przyrodniczej". Znajdują się tam: wydra, para borsuków, wilk, sarna-kozioł (koza zdechła), dwa lisy, tchórz (samiec), para wiewiórek, zając; z ptaków orlik, para myszołowów, pustułeczka, 3 puszczyki, sójka, sroka, para kruków, para pentarek, para krzyżówek, bąk, para bocianów. Ogrodem zoologicznym opiekuje się dyrektor „Pracowni", p. Aleksander Dmochowski. Ogród obejmuje obszar 3179 m. kw.

— **Walka z kłusownikami.** — W majątku Lipeczno pow. kaliskiego gajowy Bachorkiewicz spotkał w lesie kilku kłusowników, którzy na widok gajowego rzucili się do ucieczki. Bachorkiewicz puścił się za nimi w pogoń i w pewnym momencie, zaczepiwszy

się o drzewo, upadł. Przy upadku strzelba wypaliła, trafiając jednego z uciekających, 27-letniego Józefa Jarocińskiego. Postrzelonego kłusownika przewieziono do szpitala w Kaliszu, gdzie zmarł.

— **Ze statystyki zwierząt.** — Pewien statystyk niemiecki zajął się obliczeniem, ile zwierzyny zabijali dawni, wybitniejsi książęta i królowie niemieccy. Narazie ogłasza on cyfry odnoszące się do kurfürsta Jana Jerzego II, saskiego. Książę ten miał w ciągu 24-letnich rządów zabić 97 tysięcy sztuk zwierzyny.

— **Psy w Ameryce.** — Chicago posiada w swych granicach 73.000 psów, a Nowy Jork przeszło 113.000. Specjalne kadry oprawców pracują od świtu do późnej nocy. Psy zabite palą, by uzyskać nawóz sztuczny, pożądany w Ameryce.

— **Wilki w Prusach.** — W leśnictwie państwowem Eichhorst obwodu Allenstein w Prusach wschodnich odbyła się obława na wilka, do którego dano strzał chybiony. W miejscowości Schuiken w lesie Romınte leśniczy Hellwig stwierdził tropy 3 wilków. Tu też znaleziono sarnę zarżniętą przez wilka.

— **Orzeł przedni na Śląsku.** — D. 15 lutego r. b. w rewirze Warta Frankenstein pod Wrocławiem stwierdzono obecność orła przedniego.

— **Wczesne wykoty.** — Dn. 19 lutego widziano w Prusach zajączka liczącego ze 2 tygodnie życia. D. 16 lutego tamże widziano zajączka 3 — 4-dniowego.

— **Obrączkowanie.** — D. 10 listopada 1930 roku pod Lecco we Włoszech ubito jedną z 3 dzierżb obrączkowanych na Helgolandzie d. 20 czerwca 1930 roku.

— **Wystawa zwierząt futerkowych.** — Z powodu ciężkich warunków materjalnych Szwajcarski Związek Hod. Zwierz. Futerkowych zwrócił się do Unji Związków europejskich z prośbą o przełożenie mającej się odbyć wystawy Unji w r. 1931 na rok 1932, natomiast w r. 1931 będzie zorganizowany w Zurychu kurs hodowli zwierząt futerkowych. Termin narazie jeszcze nie ustalony. W czasie kursu odbędą się wycieczki do okolicznych hodowli zwierząt futerkowych. Wystawa Niemieckiego Związku Hod. Zwierz. Futerkowych odbędzie się w r. b. w Dreznie w dniach 18 — 23 października.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

Józef Weyssenhoff. Puszcza. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa. Arcydzieło Weysenhoffa, tak drogie sercu myśliwskiemu ze względu na tło, na którem się powieść rozwija, ukazało się w nowej, godnej takiego pióra szacie. Nowe wydanie zdobią prześliczne illustracje znanego i jedynego w swoim rodzaju malarza i rysownika, Kamila Mackiewicza, w którym talenty malarskie zbiegły się przedziwnie z głęboką znajomością i odczuciem naszego kresowego łowiectwa. Czy łoś w ostępie, czy różne, charakterystyczne postacie Halimonów, Szlahów i Morozów, czy para kaczorów lecąca nad leśnem bagienkiem, czy głuszec grający gdzieś na rojście, — słowem każdy obraz łowiecki naszych puszcz kresowych znajduje w Kamilu Mackiewiczu pełnego, głębokiego odczucia odtwórcę. — Piękne wydanie.

W. Gar.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Ceny skór niewyprawionych.** — We Lwowie Lisy 6.50 dol. — kuny leśne 13 dol. — kuny kamionki 12 dol. — wydry 13—14 dol. tchórze 2.75 dol. — gronostaje 1.20 dol. — borsuki 1.60 dol. — zające 1.50 zł. — wiewiórki 50 groszy.

W Lublinie na rynku futer notowano za jedną sztukę w stanie surowym zależnie od jakości i wielkości w zł.: Lisy 15 — 60, kuna kamionka 10 — 100, kuna leśna 10 — 120, borsuki 15 — 20, tchórze 5 — 25, wydry 20 — 150, gronostaje 3 — 15, zające 0.50 — 2, króliki (suche) 2 — 4 za 1 kg. Zapotrzebowanie bardzo małe. Ceny utrzymują się jak poprzednio, przy tendencji słabej.

W Krakowie za skórki zajęcze otrzymuje się 28 centów za sztukę; skórki letnie przyjmuje się 4 sztuki za 1 zimową. Przemysłowcy-kapelusznicy radzą nad nowym sposobem standaryzowania towaru. Mianowicie zamiast 4 będzie się w sortymencie uważało 5 lub 6 sztuk letnich skórek za jedną zimową zajęczą.

Skórki królicze. Zagranica interesuje się takim towarem, którego 100 sztuk waży 15 — 16 kg. Eksportuje się przeważnie do Ameryki. Towar letni, jako też pstrokaty, nie cieszy się wielkiem zainteresowaniem zagranicą. Tak samo ciężko dochodzą do skutku tranzakcje eksportowe towarem mającym 14 kg. = 100 sztuk. Eksporterzy dostają 66 centów za kg. Na rynku krajowym nabywa się towar po cenie 50 — 60 centów za kg. Na eksport musi być towar dobrze suszony.

W Berlinie tendencja słaba. Zanotowano: Za letnią skórkę zająca 0.20 mk., jesienną 0.40, zimową 0.80; dzikiego królika, letnia 0.04, jesienna 0.08, zimowa 0.14; — sarny, letnia 2.40, jesienna 1.70, zimowa 0.80; — wiewiórka, letnia 0.04, jesienna 0.12, zimowa 0.35; — borsuk średni 4.00, duży 5.50; — wydra 40 — 60.00; — łasica 0.40; — gronostaj 3.00; — jelenia jesienna za kilo 0.14; — zimowa 0.30; — daniela jesianna 1.20, zimowa 1.00 mk.

— **Rosyjski dumping futer.** — Na zebraniu londyńskiego Związku Kupców Futer omawiano szeroko sprawę dumpingowej sprzedaży futer z Rosji na rynku angielskim. Rosja wytwarza 50 proc. światowego zasobu futer i obecnie sprzedaje futra wyprawione po cenach niższych od londyńskich cen futer niewyprawionych. Wobec tego aktualną staje się kwestja zakazu dumpingowego przywozu futer rosyjskich. Zebranie uchwaliło rezolucję, wzywającą rząd do walki z przywozem futer po cenach, które demoralizują rynek, rujnują wytwórców brytyjskich i wzmagają bezrobocie. Rezolucję uchwaliło 400 osób obecnych na zebraniu. Postanowiono wysłać delegację do premjera.

OBOWIĄZKIEM KAŻDEGO JEST CHRONIĆ SIĘ

przed grypą, anginą i zaziębieniem. Kilkodniowa niezdolność do pracy, bóle w kończynach, gorączka i t. d. — oto niepożądane skutki zaniedbania ostrożności. Każdy jest jednakowo narażony na niebezpieczeństwo zaziębienia się lub zapadnięcia na grypę. Chrońcie się przez zażywanie niezawodnych pastylek Panflavin.

O NUMERY STYCZNIOWE.

P. P. Prenumeratorów, którym brak numerów styczniowych „Łowca Polskiego" do skompletowania rocznika, — zawiadamiamy, że otrzymaliśmy tytułem zwrotu, niewielką ich ilość, którą możemy odstąpić w cenie zł. 1 za numer.

Do PP. Prenumeratorów.

Numer niniejszy 13 — 14 wydajemy powiększony i ozdobny, jako podwójny za 2 tygodnie, gdyż przyjętym u nas zwyczajem dorocznym, w tygodniu Wielkanocnym, czyli w Wielką Sobotę, numeru nie wydajemy.

Uprzejmie prosimy PP. Prenumeratorów o zwrócenie na to uwagi, by uniknąć niepotrzebnych reklamacyj z powodu rzekomego nieotrzymania numeru z d. 4 kwietnia (Wielkiej Soboty).

Do PP. Prenumeratorów kwartalnych.

Do niniejszego numeru załączamy przekazy P. K. O. z uprzejmą prośbą o odnowienie prenumeraty za II kwartał, w celu uniknięcia wstrzymania wysyłki „Łowca Polskiego" z powodu zalegania w opłacie prenumeraty.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery—po 20 gr., najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

Psie mięso.

— Podczas oblężenia Paryża w r. 1871 była taka bieda, że oblężeni żywili się wyłącznie psiem mięsem. Nawet kobiety z najpierwszych domów, musiały na tym specjale poprzestać. Wszyscy tedy wówczas powszechnie sądzili, że razem z pożywieniem przejmą się także kobiety główną psów zaletą, to jest wiernością. Tymczasem skutek był wprost inny. Oto wszystkie kobiety po spożyciu psiego mięsa zażądały naszyjników.

Zdrobniały struś.

— Gapski, wymień mi rzeczownik zdrobniały od „struś".

— Koliber, panie psorze.



SKŁAD BRONI „J. SOSNOWSKI"

Warszawa, Ossolińskich 1. Tel. 647-47. Adres telegr. SOSLIS.

Wyłączne przedstawicielstwa oraz sprzedaż wszechświatowej sławy strzelb myśliwskich:

G. DEFOURNY SEVRIN, Liège
A. FORGERON "
A. FRANCOTTE "
LEPAGE "
VERNEY CARRON et Cie, Paris
VICKERS Ltd., London
J. NOWOTNY, Praha

SZTUCERY I TRÓJLUFKI
wykonane z zastosowaniem ostatnich wymagań techniki.

Warsztaty reperacyjne. Oferty i cenniki bezpłatne. Ceny i warunki najprzystępniejsze.

POMORSKIE szkółki leśne

posiadają na sprzedaż następujące SADZONKI do upraw wiosennych:

sosny posp. 1 roczn. — 1.000.000 szt., sosny Murraya 2 letn. 10.000 szt., świerka 1 roczn. — 500.000 szt., 2 letn. — 500.000 szt., 3 let. 300.000 szt., dęba 1 roczn. — 180.000 szt., buka 2 let. — 100.000 szt., brzozy 2—3 let. — 60.000 szt., jesiona 1—3 let. — 150.000 szt.

Informacji udziela **Wydział Leśnictwa Pomorskiej Izby Rolniczej — Toruń, ul Sienkiewicza 40 — telefon 36.—**

Bezpieczna broń.

— Używasz w podróży starego i zardzewiałego rewolweru? Czy ta broń może ci zapewnić bezpieczeństwo?

— Zupełnie. Jestem przynajmniej pewny, że mi w kieszeni nie wypali.

OGŁOSZENIA DROBNE.

Dubeltówka Purdey'a, lufy Whitworth, dwunastka ejectory, strzał wspaniały, okazyjnie sprzedam. Składnica broni Teodora Falkowskiego, Widok 22. Amunicja, przybory najtaniej.

Jaja bażancie z dostawą do 15 maja 2 złote, po 15 maja 1.50, opakowane, loco stacja Stryj, sprzedaje Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy p. Stryj.

Jamnika psa i sukę najchętniej szorstkowłose tylko po wysoko rasowych r dzicach o typowej budowie nie starsze niż 12 miesięczne kupi Dr. Zenkteler. Śmigiel. Wielkopolska.

Poszukuję posady najpóźniej od dnia 1.VI b. r. „Leśniczego" wzgl. „Łowczego". Jestem górnoślązakiem, władam językami polskim i niemieckim w piśmie i mowie, posiadam kilkuletnią praktykę leśną, jakoteż ukończoną Szkołę Łowiecką przy Małopolskiej Hodowli Zwierzyny, z pierwszorzędnemi świadectwami, obznajmiony z wszelkiemi pracami przy hodowli lasu i zwierzyny, żonaty, bezdzietny, lat 27. Robert Willim, leśniczy, poczta Ogrodziniec K/Zawiercia.

Słonki świeże, każdą ilość każdego czasu w cenie zł. 3.00 — 4.00 za szt. loco Leszno, kupuje Fa. Akra — Leszno Wlkp. Wysyłać pocztą ekspres.

Strzelec (Górnoślązak) energiczny z dobremi świadectwami, doskonale zapoznany z praktyką leśną, szczególnie z hodowlą zwierzyny łownej i ba antów w woljerach — energiczny tępiciel drapieżników i kłusownictwa, poszukuje służby w większych majątkach jako łowczy lub strzelec od zaraz. Adres: Leśnictwo Margrabszczyzna, Ostrowiec woj. Kieleckie, Al. 3-go Maja 64. Biedrzycki.

Żywe bażanty, kuropatwy, zające, dzikie króliki, jaja bażancie, **nasiona i rośliny pastewne** dla zwierzyny **oraz sadzonki drzew leśnych** poleca po umiarkowanych cenach **Nadleśnictwo Babki** poczta **Krzesiny** Wielkopolska.

Mamy do oddania

ŻYWE BAŻANTY (KURY I KOGUTY)

białoobrączkowe do chowu i odświeżenia krwi w większej ilości, taksamo świeże jaja bażancie w porze niesienia.

Zamówienia przyjmuje

Inspekcja leśna ks. v. Donnersmarck w Swierklańcu G/Sl.

ZIEMIA

ILUSTROWANY dwutygodnik krajoznawczy

Krzewi umiłowanie ziemi ojczystej. **Omawia** metody i drogi pracy krajoznawczej. **Podaje** opisy krajobrazów, bogactw naturalnych, miast, miasteczek, wsi. **Informuje** o pracach mających na celu poznanie kraju. **Propaguje** ochronę przyrody i zabytków. **Zamieszcza** wskazówki turystyczne. **Prowadzi** stałą kronikę krajoznawczą, turystyczną, konserwatorską i muzealną. **Rozpatruje** literaturę krajoznawczą i turystyczną. **Ilustruje** licznemi zdjęciami fotograficznemi wszystkie artykuły.

20-ty rok istnienia pisma świadczy o jego potrzebie.

PRENUMERATA WYNOSI:
kwartalnie zł. 7.50, rocznie zł. 29.—

WARSZAWA, KAROWA 31.

Telefon 642-50. Konto P.K.O. 2222.

Aforyzm o psach.

Jakkolwiek mędrcy twierdzą: „Psy, które szczekają, nie kąsają" — to jednak wystrzegać się takich psów należy. Bo są psy, które szczekają, aby sądzono, że nie kąsają.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.